ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
»DZIENNIKA ZACHODNIEGO«

Nr 7

Katowice, 16 lutego 1947 roku * Rok 2



Drabek Hipolit,
odlewnik z Poręby

Historia sprzed 40 lat, warta przypomnienia

Śląski Drzymała — Franciszek Chruszcz

Od roku 1876 państwo pruskie postanowiło specjalnymi ustawami chronić interesów niemczyzny na ziemiach zamieszkałych przez ludność polską. W tym celu wydało specjalne prawo osadnicze, najeżone obostrzeniami skierowanymi przeciwko Polakom. Prawo to objęło przede wszystkim prowincję zachodnio-pruską i poznańską, a później w roku 1904 zostało rozszerzone na Prusy Wschodnie, Brandenburgię, Pomorze, Śląsk, Prowincję Saską i Westfalię. Zabraniało ono stawiania budynków mieszkalnych względnie przeróbki innych budynków na cele mieszkalne na gruntach powstałych z parcelacji. Na budowę domu, względnie przeróbkę na cele mieszkalne trzeba było mieć specjalne zezwolenie osadnicze, poparte zaświadczeniem prezydenta rejencji, że zamierzona osada nie sprzeciwia się ustawie o popieraniu osadnictwa niemieckiego. Liczne postanowienia utrudniały uzyskanie zezwolenia osadniczego Polakom. Każdy Niemiec mógł z jakiegokolwiek powodu wnosić sprzeciw w sprawie osiedlenia się Polaka i budowania przez niego domu. Jeśli budowa została rozpoczęta przed udzieleniem zezwolenia — winnemu groziła kara aresztu lub grzywny, a miejscowa władza policyjna miała obowiązek wstrzymać dalszą budowę i zarządzić usunięcie postawionych już części.

Osobne zarządzenia różnych ministerstw kładły specjalny nacisk na jak najszersze i rygorystyczne stosowanie tej ustawy w stosunku do Polaków. Zwracano też uwagę na stosowane przez Polaków pomijanie ustawy. Niektórzy osadnicy bowiem nie mogąc uzyskać zezwolenia na budowę domu, wykopywali w ziemi jamy i tam zamieszkiwali. Można więc było w państwie pruskim budować bez przeszkód chlew dla świni, oborę dla krowy, budę dla psa, ale obywatelowi tego państwa, Polakowi, nie wolno było nawet mieszkać w jamie.

Na tym tle rozegrała się niemal dokładnie 40 lat temu w powiecie rybnickim tragedia, której bohaterem był inwalida górniczy, Franciszek Chruszcz.

Miał on wówczas przeszło 60 lat. W młodości jako żołnierz pruski bił się w trzech wojnach, z których przyniósł stopień podoficerski i medale, potem pracował długie lata na kopalni, którą opuścił jako inwalida pracy z niewielką pensyjką. Na emeryturze zajął się leczeniem, będąc czymś w rodzaju felczera. Ten zawód dawał niezłe dochody, tak, że uzbierał jakąś sumkę pieniędzy, pozwalającą mu na zaspokojenie odwiecznej tęsknoty polskiego chłopa i robotnika do kawałka własnej ziemi. Właśnie Bank Parcelacyjny w Poznaniu przeprowadzał parcelację hrabiowskich dóbr w Pszowie. Chruszcz zakupił z tej parcelacji działkę i zdawało mu się, że marzenie jego życia jest spełnione. Na parceli tej stał jakiś budynek dworski, wgłębiony w ziemię, przeznaczony za czasów dworskich na przechowywanie czy kiszenie paszy dla bydła. Chruszcz w jamie tej ustawił niewielki murowany piecyk, wzniósł niewielką stodołę, parcelę częściowo obsiał, a częściowo przeznaczył na sad. Nie przyszło mu nawet do głowy, że jemu, emerytowi górniczemu, pruskiemu żołnierzowi z trzech wojen władze mogłyby odmówić zezwolenia na wzniesienie budynku. Zapomniał bowiem, że był Polakiem. Zachował wprawdzie instyktownie mowę i obyczaje polskie, ale jako czynny i uświadomiony Polak nigdy nie występował. Ale dbające o dobro sprawy niemieckiej na Śląsku władze pruskie nie zapomniały o niemal nieuświadomionej sobie przez Chruszcza jego polskości, ani o tym, że nabył ziemię za pośrednictwem polskiego Banku Parcelacyjnego.

Ustawa o ochronie osadnictwa niemieckiego poszła w ruch. W końcu lipca 1906 r. Franciszek Chruszcz otrzymuje wezwanie Urzędu Okręgowego do zburzenia pieca w swej norze. I tutaj zbuntował się po raz pierwszy karny pruski poddany. Nie tylko nie usłuchał wezwania, ale na każdym kroku podkreślał z ponurą zawziętością, że zabije każdego, kto wkroczy z wrogimi zamiarami na jego parcelę. Nie czekał długo. W dniu 8 sierpnia 1908 roku miejscowy żandarm Rothe, wielki patriota i służbista niemiecki, przybrawszy sobie do pomocy przygodnego murarza, przybył na parcelę Chruszcza wykonać rozbiórkę pieca. Chruszcz bardzo błagał o zwłokę, celem porozumienia się z naczelnikiem Urzędu Okręgowego Trwało to może z pół godziny, aż w końcu służbisty żandarm zniecierpliwił się i kazał murarzowi przystąpić do pracy. Gdy pochylony nad jamą przypatrywał się rozbiórce pieca, doprowadzony do rozpaczy Chruszcz wyjął ukrytą w stodole fuzję i wypalił w pochyloną głowę żandarma. Strzelał śrutem, więc skutek nie był natychmiastowy. Drugim strzałem oddanym w piersi leżącego, dokonał zemsty na swoim prześladowcy. Murarz zbiegł i zaalarmował wieś. Chruszcz tymczasem schował starannie fuzję, w kieszeń wetknął rewolwer i ukrył się w pobliskim lasku. Gdy osaczyli go nadbiegający żandarmi, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. W trzy dni później pochowano go cichaczem na pszowskim cmentarzu. A dzień potem odbył się paradny pogrzeb zabitego żandarma z udziałem licznych organizacyj niemieckich, a nad mogiłą jego pastor Gottschalk grzmiał tymi słowami: „Sędzia wieczny będzie żądał krwi tego urzędnika od tych, którzy rzucili zapaloną pochodnię narodowego sporu i nienawiść na tak spokojny dawniej Górny Śląsk".

Tak zginął Franciszek Chruszcz, ofiara wymierzonej przeciwko Polakom pruskiej ustawy osadniczej. Był równocześnie mimowolną niemal ofiarą swojej polskości. Bo gdy chodziło o obronę niemczyzny, zapomniały mu władze jego lojalność, jego zasługi żołnierskie, zapomniały, że nie był czynnym uczestnikiem polskiego ruchu narodowego. Wiedziały tylko jedno: był Polakiem i to wystarczyło, by go złamać i zniszczyć.

Dlatego osadnik polski i repatriant, obejmujący dzisiaj poniemieckie gospodarstwo czy to pod Słubicami czy pod Szczecinem, czy pod Koszalinem, czy na Śląsku, wszędzie tam, gdzie obowiązywała pruska ustawa osadnicza, niech pamięta o krwawej tragedii śląskiego Drzymały Franciszka Chruszcza. Jesteśmy na tych ziemiach tylko powracającą falą, która już nie odpłynie. (ZAP) **Zdzisław Hierowski**

„Poręba" pracuje w deszczu iskier

PORĘBA. Spośród zakładów przemysłowych, które wyszły niezniszczone z huraganu wojny, wymienić należy jedną z największych obrabiarek w Polsce, — „Porębę", w Porębie koło Zawiercia.

Ocalenie fabryki przypisać należy w dużej mierze jej położeniu, z dala od centrów Zagłębia i Śląska, narażonych na niebezpieczeństwo nalotów ze strony państw sprzymierzonych. Ten moment zdecydował, że Niemcy spokojną i pełną uroku osadę wybrali, jako ośrodek produkcji precyzyjnych części różnych maszyn, potrzebnych dla przemysłu zbrojeniowego, a przede wszystkim dla lotnictwa. Rozbudowali i udoskonalili fabrykę, nie przewidując, że nie zdążą wywieźć jej lub zniszczyć.

Zakłady „Poreba", wyposażone w nowoczesne urządzenia, przed kilkudziesięciu laty były skromnymi warsztatami, produkującymi artykuły żelazne dla rolników okolicznych wiosek. Po pierwszej wojnie światowej wykupione zostały przez Polonię amerykańską i dostosowane do produkcji maszynowej.

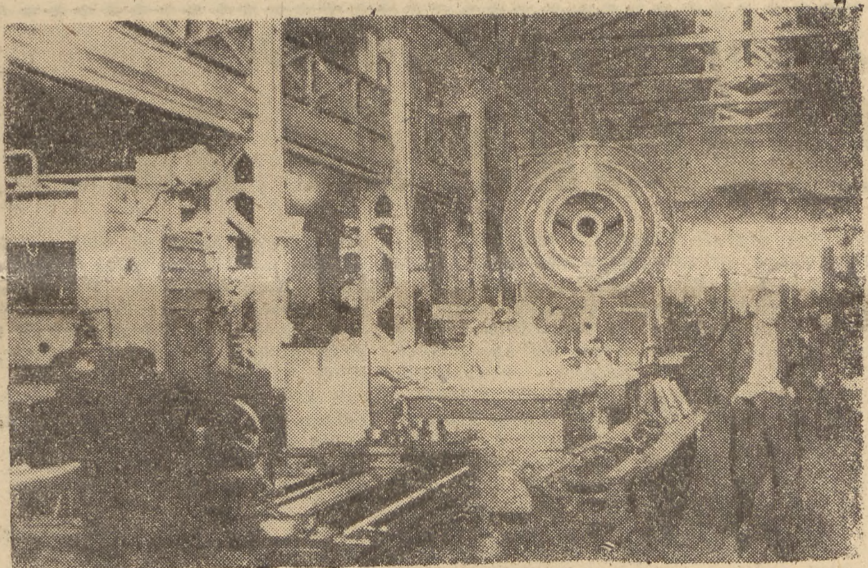
Dziś „Poręba" znajduje się pod zarządem państwowym i pracuje dla potrzeb kolejnictwa i ciężkiego przemysłu, a zwłaszcza hutnictwa, spełniając szczytną rolę w odbudowie naszego kraju.

Zakłady, zatrudniając 1.800 pracowników, czyli o 600 osób więcej aniżeli przed wojną, produkują maszyny na szeroką skalę do obtaczania obręczy kolejowych, bosych kół kolejowych, wytaczania piast i karuzelówek, a co najważniejsze heblarek podłużnych. Niektórych z tych maszyn nie produkowano dotąd w Polsce, lecz sprowadzano je z zagranicy. W niedługim czasie „Poręba" wypuści różne typy maszyn i specjalne walce dla hutnictwa.

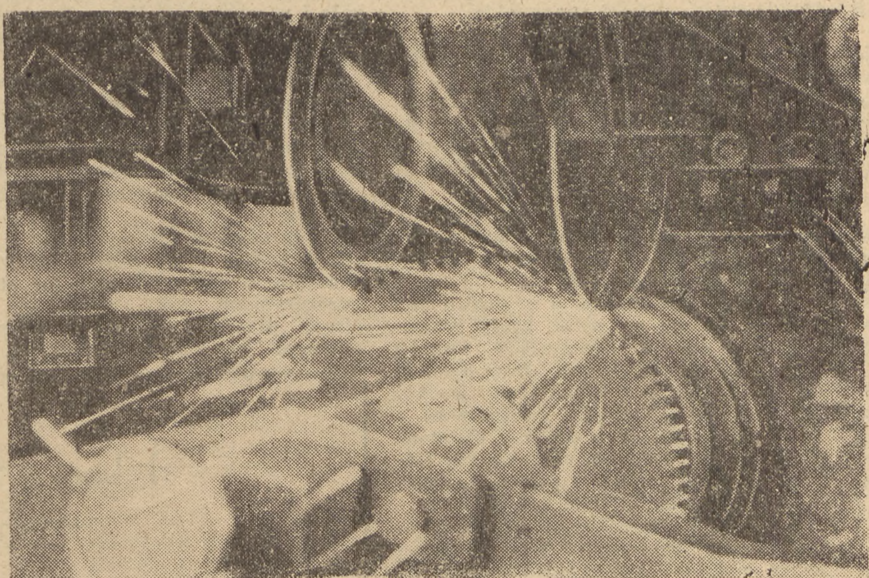
Nie można pominąć milczeniem dużej odlewni żelaza i stali, dającej produkty, którymi zasilany jest również przemysł hutniczy i obrabiarkowy.

Pocieszającym objawem jest stale notowany wzrost produkcji, obliczany ostatnio na 17 milionów zł miesięcznie. Przy zakończeniu Planu Trzyletniego przewiduje się osiągnięcie produkcji do wysokości 32 milionów zł.

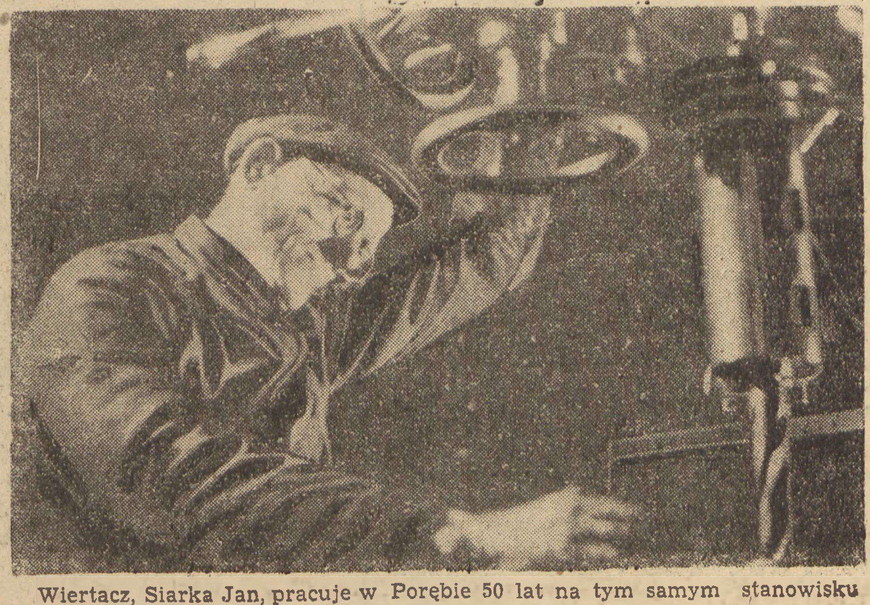
Niezmiernie ważnym problemem, do którego kierownictwo fabryki przywiązuje dużą wagę, jest szkolenie młodego narybku pracowniczego. Dla zwiększenia kadr fachowców, uruchomiono przy zakładzie Szkołę Zawodową dla Przemysłu Metalowego. Uczniowie prócz teorii, kształcą się praktycznie pod okiem własnych inżynierów, techników i wybitnych majstrów.



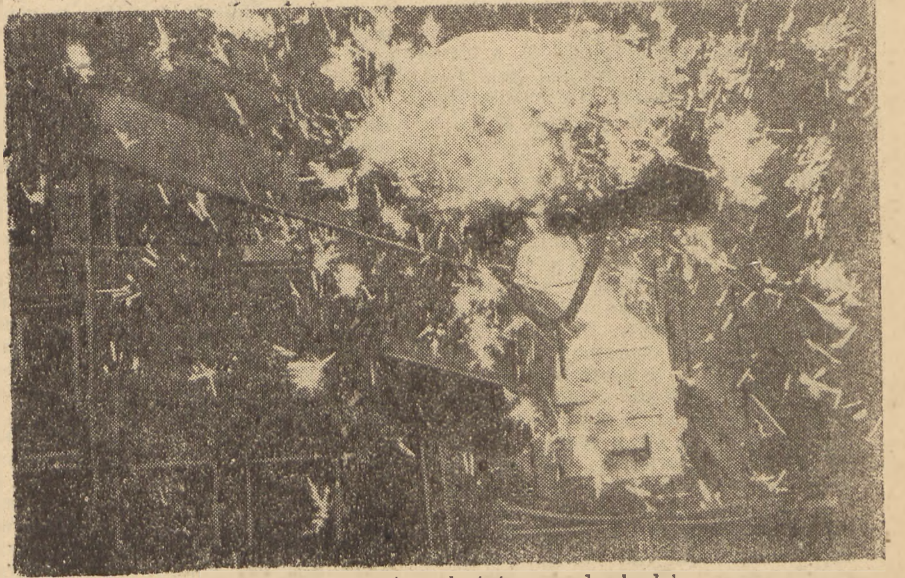
Hala montażowa obrabiarek



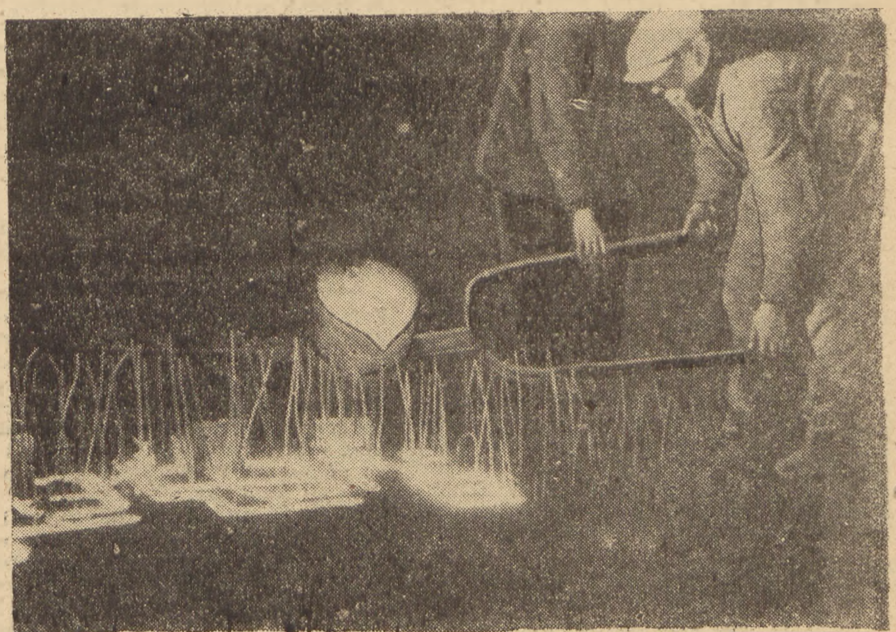
Frezarka w ruchu



Wiertacz, Siarka Jan, pracuje w Porębie 50 lat na tym samym stanowisku



Spust żelaza z pieca hutniczego do kadzi



Odlewanie żeber do form

(Własna obsługa fotograficzna „Dz. Zach.")

Franciszek Godula

Przyczynki do narodowego odrodzenia G. Śląska w latach 1895—1905

5 czerwca 1895 r. założono we Wrocławiu **główne gniazdo hakatystów dla całego Śląska.** Do zarządu weszli: ks. Hohenlohe, hr. Donnersmarck z Świerklańca, Thiele-Winkler oraz niektóre wielkości z przemysłu. **Odtąd wielki przemysł stawał się coraz wyraźniej hakatysytczny, popierał germanizację i łożył na nią znaczne sumy.** Jedynie magnaci katoliccy (jak hr. Donnersmark z Nakła, hr. Ballestrem, hr. Schaffgotsch) nie brali udziału w tej nagonce, chociaż niektórzy ich wielcy urzędnicy (specjalnie u Ballestrema) ochotnie zerkali na hakatystów i stowarzyszeniom polskim nieraz sprawiali trudności, odmawiając im np. sal na zebrania lub przedstawienia.

W roku 1895 w okręgu pszczyńsko-rybnickim polski kandydat, adwokat Radwański z Pszczyny, dostał 12.447 głosów, gdy oficjalny kandydat niemiecki, von Hueme, miał ich tylko 4.561.

Kierownik wydziału szkolnego i wyznaniowego przy regencji w Opolu, dr. Rudolf Küster, już w roku 1896, skoro tylko przydzielono go na Górny Śląsk, **zabrał się do organizowania niemieckich bibliotek ludowych. Już w r. 1907 wykazały biblioteki ludowe 60.000 czytelników polskiego pochodzenia.**

CENTROWA GAZETA DLA PODCIĘCIA POLSKOŚCI

W roku 1896 centrowi księża założyli dla podcięcia polskiego ruchu „Gazetę Katolicką", która swymi mdłymi prusko-patriotycznymi artykułami miała uśpić polską opinię. Gazeta wychodziła w Królewskiej Hucie i w czerwcu 1910 r. zakończyła swój niesławny żywot.

4 maja 1897 r. odbyły się w gmachu parlamentu w Berlinie **wspólne narady przywódców centrowych, z naczelnymi redaktorami katolickimi prasy śląskiej i niemieckiej.** Rezultatem był nowy statut organizacji wyborczej dla śląskiej partii centrowej, uwzględniający już znacznie stosunki społeczne i narodowościowe poszczególnych okręgów. Wskutek tego wybory w roku 1898 odbyły się na ogół spokojnie, bez rozdwojenia i rozdźwięków. **tylko w okręgu opolskim major Szmula znowu przeszedł nie jako oficjalny, lecz jako ludowy kandydat centrowy.**

W sierpniu 1897 r. ks. kardynał Kopp nakazał rozwiązać wszystkie Towarzystwa Alojzjanów w całej diecezji, licznie rozsianych na Górnym Śląsku.

W roku 1898 rząd pruski rozpoczął rozwiązywać na nowo zgromadzenia polskie, usprawiedliwiając to tym, iż na zebraniach tych mówi się po polsku tylko dlatego, by udaremnić przysługujące rządowi prawo kontroli.

Stanął również na stanowisku bezwzględnego tępienia żywiołu polskiego na polu ekonomicznym, nie cofając się przy tym nawet przed ustawami wyjątkowymi.

Poczynającą się w roku 1898, a trwającą aż do wybuchu wojny światowej epokę polityki polskiej rządu pruskiego nazywamy krótko epoką polityki hakatystycznej.

BEZPRAWNE ROZWIĄZYWANIE POLSKICH ZGROMADZEŃ

Najwyższy Trybunał Administracyjny orzeczeniem z 26 września 1876 r. uznał **rozwiązywanie polskich zgromadzeń, z powodu używania na nich języka polskiego, za bezprawie.** Tenże Trybunał Administracyjny orzeczeniem ź 5 października 1897 r. w zupełności potwierdził swoje dawniejsze orzeczenie z roku 1876, oświadczając, iż **obowiązkiem rządu jest postarać się o osoby umiejące po polsku i powierzyć im policyjną kontrolę nad polskimi zgromadzeniami.**

Orzeczenie Najwyższego Trybunału Administracyjnego z 21 listopada 1899 r. napiętnowało po raz trzeci praktykę rozwiązywania polskich zgromadzeń z powodu używania polskiego języka, jako bezprawie. Po tej kompromitacji rząd przez dłuższy czas uznawał prawa języka polskiego na polskich zgromadzeniach.

Duchowieństwo górnośląskie w r. 1899 znowu wysłało **zbiorową petycję o polską naukę religii w szkołach.** Petycja księży zwracała ministrowi uwagę, że wobec istniejących stosunków szkolnych na Górnym Śląsku, lud cofa się w wychowaniu religijnym i w obyczajach moralnych.

Na wszystkie petycje i prośby miał rząd tylko jedną odpowiedź: **„Racja stanu nie pozwala nam uwzględnić waszej prośby; kierujemy się jedynie wyższymi, państwowymi względami".**

Samodzielne życie gospodarczo-oświatowe kobiet polskich na Śląsku zaczęło się około roku 1900. W tym to roku szczupłe grono kobiet polskich, pod przewodnictwem redaktorowej Dombkowej, założyło pierwsze polskie „Towarzystwo Kobiet" w Bytomiu.

NIEZAPRZECZALNA POLSKOŚĆ GÓRNEGO ŚLĄSKA

W r. 1900 było w Prusach 47 powiatów z ludnością polską, wynoszącą więcej niż 60% ludności powiatu, mianowicie: w Prusach Wschodnich 3, w Prusach Zachodnich 6, w Poznańskiem 26, **na Górnym Śląsku wreszcie 12 powiatów** (Olesno, Opole, Strzelce, Lubliniec, Gliwice, Tarnowskie Góry, Bytom, Zabrze, Katowice, Pszczyna, Rybnik i Koźle.

Pod koniec 1901 r. zaczął wychodzić w Katowicach dziennik p. t. **„Górnoślązak", organ młodych patriotów i radykałów,** który od samego początku gwałtownie uderzał w politykę „Katolika", głosząc hasło: „Precz z centrum z Górnego Śląska"! „W przyszłych wyborach wybieramy posłów do Koła Polskiego!"

„Górnoślązak" zdobył od razu bardzo pokaźną liczbę czytelników. Jednakże po kilku latach „Górnoślązak" wyczerpał swoje fundusze i walczył z różnymi trudnościami, aż w r. 1906 przeszedł na własność nowej spółki, do której przystąpiło wydawnictwo „Katolika".

CORAZ WIĘCEJ POLSKICH GAZET

Ponieważ niektóre okolice Górnego Śląska, jak powiaty kozielski i lubliniecki, nie miały osobnych gazet i były pod tym względem zaniedbane, dlatego ruchliwi redaktorzy spółki „Górnoślązaka" postanowili wydawać gazety dla wspomnianych powiatów. Aby więc szerzyć tam ruch narodowy, wydawano od roku 1902 w Koźlu, potem w Raciborzu, **„Straż nad Odrą", a dla powiatu lublinieckiego w Lublińcu „Dzwon Polski",** z których jednak „Dzwon" wychodził tylko 1 rok. „Straż nad Odrą" z „Górnoślązakiem" została przez spółkę, do której przystąpił „Katolik", zakupiona i wychodziła jeszcze jakiś czas w Rybniku.

W latach 1902 i 1903 wydawał **Zygmunt Narweg w Bytomiu tygodnik ilustrowany „Gwiazda".** Duch tego pisma był szczerze narodowy. „Gwiazda" wychodziła później w Poznaniu, dokąd ją z Bytomia przeniesiono.

W r. 1903 dawniejszy redaktor „Katolika", Józef Siemianowski, założył w **Gliwicach „Głos Śląski", wychodzący sześć razy w tygodniu.** Jednakże „Głos Śląski" finansowo stał coraz gorzej, gorzej, wreszcie Siemianowski zamienił go na czasopismo, wychodzące tylko 3 razy w tygodniu. W r. 1910 „Głos Śląski" przeszedł na własność wydawnictwa „Katolika" i jeszcze jakiś czas wychodził trzy razy w tygodniu, ze zwykłymi dodatkami „Katolika".

Od kwietnia 1903 r. Joachim Sołtys w Gliwicach zaczął wydawać **„Iskrę", tygodnik ludowy, poświęcony sprawie wychowania narodowego. Tenże Sołtys** wydawał następnie w **Zabrzu także czasopismo polityczne p. t. „Gazeta Polska".** Wychodziło ono 2 czy 3 razy w tygodniu. Pisane w silnym tonie polskim, często dość nieoględnie, ściągnęło na swego wydawcę takie mnóstwo procesów i kar, że musiał porzucić wszystko i uciekać do Austrii.

LIST PASTERSKI PRZED WYBORAMI 1903

Biskup wrocławski, ks. kardynał Kopp, kazał w dniu 3 czerwca 1903 r., **krótko przed wyborami do parlamentu, przeczytać w polskich parafiach list pasterski, w którym nauczano, że język i narodowość to wprawdzie dobra wielkie, lecz nie największe.** List pasterski był napisany tak, że wywołał wrażenie, iż **polska mowa i narodowość powinny być dla Górnoślązaków obojętne i że nie warto bronić się przeciwko wynarodowieniu. Na końcu listu wzywał biskup polską ludność Górnego Śląska, aby wszystkie gazety pisane w polskim duchu, powyrzucano z domów.**

16 czerwca 1903 r. odbyły się wybory do parlamentu niemieckiego. **W okręgu wyborczym gliwicko-lublinieckim redaktor Józef Siemianowski, polski kandydat, uzyskał 8.370 głosów.** W następnych wyborach w tym okręgu zwyciężył dosyć gładko również kandydat polski, ks. proboszcz Jankowski.

KORFANTY, PIERWSZY POLSKI POSEŁ ŚLĄSKA

Wybory w r. 1903 odbyły się wśród niebywałego dotychczas rozmamiętnienia. **W Opolu major Szmula zwyciężył znowu urzędowego kandydata centrowego, w osobie samego hrabiego Ballestrema.** W Prudnickiem Strzoda pobił również oficjalnego kandydata centrowego. W okręgach Katowice—Zabrze i Pszczyna—Rybnik doszło do wyborów ściślejszych, pomiędzy centrum a socjalistami. W Bytomskiem i Pszczyńskiem zwyciężyło centrum, **lecz w ważnym okręgu Katowice—Zabrze przeszedł jako pierwszy na Śląsku, poseł do Koła Polskiego, 30-letni wtedy Wojciech Korfanty, odtąd najpoważniejszy rywal Napieralskiego, całkiem odmienny z uzdolnienia, charakteru i metod działania.** W Raciborzu kandydował sam dr. Rostek. Mając teraz zaprzęgnięte do polityki „Nowiny Raciborskie" przeciwko sobie, uzyskał tylko 2.461 głosów, gdy kandydat centrowy ks. Frank miał ich 12.146.

Redaktor „Katolika", Adam Napieralski, zorientowany wyborami z r. 1903, niezwłocznie po tych wyborach sam wystąpił z „Centrum" i przystąpił do obozu narodowego, reprezentowanego przez „Górnoślązaka" i „Głos Śląski".

Ważny ten krok uzasadnił publicznie znakomitą broszurą „Der „Katolik" und das schlesische „Centrum" von 1889 bis 1903", stwierdzającą po przedstawieniu licznych konfliktów z zarządem stronnictwa centrowego, że partia w ostatnich 14 latach kroczyła drogą prowadzącą na jej cmentarz.

PONOWNE ZWYCIĘSTWO KORFANTEGO

Dnia 24 maja 1905 r. ogłoszono wybór Korfantego za nieważny, wskutek czego dnia 12 października 1905 r. odbyły się wybory ponowne. Ubolewający nad radykalizacją ruchu narodowego ks. Kapica pozwolił się przy tym postawić jako kandydat centrowy, lecz mimo swojej popularności zyskał tylko 9.102 głosy, **gdy Korfanty utrzymał się zwycięsko przy 23.206 głosach.**

W roku 1905 rząd pruski wytoczył Bankowi Ludowemu w Bytomiu proces karny, chcąc go zgnieść albo co najmniej dostać pod swoją kontrolę. Proces przeprowadził adwokat Kazimierz Czapla, dla banku tak zwycięsko, że bank mógł rozwijać się dalej, bez ciężkiej i przykrej opieki niemieckich wpływów.

W 1905 r. **założono w Katowicach pierwsze polskie towarzystwo śpiewu „Harmonia".** Kierownictwo objął J. Budzyński, a następnie T. Lewandowski z Katowic. W r. 1906 „Harmonia" wystąpiła już publicznie, na uroczystości powstania styczniowego w Dziedzicach.

Osobliwości Ziem Odzyskanych

Zamek Książno

Zamek, a raczej masyw bloków, wyrastający skarpami ze skalnego bastionu, rezydencja wielkopańska, która niema sobie równej na Śląsku, usianym grodami, siedziba, której imponujący ogrom i fantastyczne położenie urzeczywistnia najpiękniejszą bajkę o kasztelach i rycerzach dawnych czasów.

Książno jest główną atrakcją Wałbrzycha i okolicy, osobliwością na Ziemiach Odzyskanych, a przydomek „perła Śląska" nie był przesadą. Mnóstwo podań, sięgających średniowiecza, wiąże się z tym zamkiem i okalającym go przepaścistym jarem oraz ze strumykiem Leśną, bogatym kiedyś w pstrągi, wijącym się na samym dnie przepaści.

W literaturze i sztuce Fürstenstein ma swoje miejsce.

Książno, to w kamieniu wykute dzieje Księstwa Świdnicko-Jaworskiego, a w szerszym znaczeniu dzieje całego Śląska, między jedną a drugą Nysą. Historia przesuwała się tu bogata i ciekawa, toteż bogate i ciekawe są dzieje i losy tej rezydencji Piastów świdnickich, a później książąt pszczyńskich.

Zamek-gród zbudował ok. r. 1295 Bolko I, jako punkt strategiczny, przy zejściu się dróg Jawor-Legnica i Świdnica-Wrocław, a tytuł pana na Książnie, jaki przybrał tenże Piastowicz, dowodzi, że „Fürstenberg" był główną siedzibą sudecką władców śląskich.

Bolko I, ur. 1253 w Legnicy, najmłodszy syn Bolesława II z Legnicy, potomek św. Jadwigi i Henryka I Brodatego, pan na Lwówku, Jeleniej Górze i Kamieniogórze, a później jeszcze na Jaworze, Strzegomiu, Świdnicy, Dzierżoniowie i Strzelinie, był władcą energicznym i chciwym władzy. Jego życie wypełniała troska o umocnienie Księstwa, zabezpieczenie granic i dlatego budował nowe warownie lub przekształcał stare, zakładał wsie i miasta, dbał o rzemiosło i rolnictwo. Na dworze Bolka I, inspiratora dzieł pióra, pędzla i dłuta, rozwija się poezja dworska. Gdy cała Polska dostała się przejściowo pod rządy króla Czech, Wacława II, który koronował się w roku 1300 na króla polskiego w Gnieźnie, na Śląsku jedynie Piastowicz Bolko I prowadził politykę niezależności.

Otóż ten to Bolko I pisał się „pan na Forstinburgu" czyli Książnie, tu rezydował, tu przyjmował książąt i wasalów i tu obmyśliwał plany strategiczne.

Śląsk Piastowski w pewnym okresie historycznym promieniował znaczeniem politycznym, gospodarczym i kulturalnym z Fürstensteinu, położonego 8 km. na północ od Wałbrzycha, a 12 na zachód od Świdnicy.

Dodajmy, że po tym ambitnym i gospodarnym księciu, który zmarł w 47 roku życia, przeznaczywszy sławny klasztor Benedyktynów, później Cystersów w Krzesoborze jako miejsce spoczynku dla siebie i rodziny, pozostało na Śląsku Sudeckim najwięcej pamiątek.

W murach Książna i pod nimi obozowały nieraz zastępy rycerstwa polskiego, wojska czeskie, niemieckie i węgierskie, zbrojne gromady husytów i awanturników puszczańskich. Stary Gród, istniejący opodal nowego jeszcze przed czasami Bolków Świdnickich, przeżywał napad Tatarów w r. 1241.

Pod koniec XV wieku rządca królewski Georg v. Stein umocnił i rozszerzył gród, a gdy Śląsk przypadł Władysławowi Jagiellończykowi, Fürstenstein nie poddał się, trzymany przez węgierską obsadę von Steina, którą zmusił do kapitulacji przez oblężenie, Kazimierz z Cieszyna i Pszczyny.

Nie jeden raz toczyły się o Książno boje między rodami magnackimi.

Pod koniec średniowiecza do zamku należało kilkanaście wsi i miasteczka Świebodzice i Frydlant.

Książno miało własne sądownictwo, uprawnienia kościelne, myśliwskie, handlowe i inne, było jakby udzielnym księstwem z ważkim głosem politycznym.

W wieku XVI przeszło w posiadanie saskiej rodziny Hochbergów, która później utworzyła z całego kompleksu miast i wsi majorat rodzinny.

Henryk II przekształcił w wieku następnym zamek na pałac, który rozbudował w sposób imponujący Conrad Maksymilian (1698—1714). Jego dziełem jest monumentalny barok części wschodniej ze wspaniałą salą marmurową.

Podczas wojny siedmioletniej, Fürstenstein stał się kwaterą wodzów jak Deville, Laudon, Daun i pruskich generałów jak Goltz, Zieten, Platen.

Ostateczne ukształtowanie całości zawdzięczamy Henrykowi XV z Pszczyny, z rodziny Hochberg-Fürstenstein, który dobudował czerwone skrzydło pałacowe, urządził efektowne tarasy i wyposażył wnętrze osobliwościami z całego świata. Zamek stał się jednym z najwspanialszych muzeów europejskich i posiadał takie białe kruki jak obrazy mistrza Giovanni Pinotti, (1545), inkunabuły i rękopisy średniowieczne itd., pomijając już dzieła wybitnych architektów wszystkich epok sztuki.

60 tysięczna biblioteka miała charakter archiwalno-dokumentarny, nieoceniony do zbadania dawnej polskości Dolnego Śląska.

Zauważmy, że w rodzinie Hochberg-Fürstenstein-Pless powtarzało się imię Bolka na pamiątkę Piasta Bolka I oraz imię Henryk, pochodzące od Piastów wrocławskich.

Jak zawieruchy husyckie, jak wojny 30-to i 7-mio letnie i przemarsze różnych wojsk, tak i obecna wojna zadała zamkowi bolesne rany. Za ucieczkę młodego księcia do Anglii został Fürstenstein skonfiskowany na rzecz rządu niemieckiego. Imponujący masyw murów wznoszący się 112 m od podnóża skały, tarasy z kilkudziesięciu fontannami, przepych stylu i techniki, wspaniałe ogrody i wymarzone położenie, kilkaset pokoi (ok. 400) — wszystko to desygnowało ten pałac do roli wschodniego Berchtesgaden. Pod okiem samego Goeringa przedsięwzięła organizacja Todta gigantyczne roboty tunelu podziemnego, wykuwano w skale, przy czym platforma mechaniczna miała dźwigać samochody wprost przed hall pałacu. Dołem prowadzona serpentyna, mimo wygodnego dojazdu górą, miała zabezpieczyć limuzynę Fuehrera przed natrętnym wzrokiem „oddanych rodaków".

Przez cztery lata, prowadzonych robót nie wykończono. Fanatyzm hitlerowców zdołał jeno usunąć wiele pamiątek historycznych, przemalować pokoje i przekształcić liczne komnaty podług „smaku" i wymagań narodowego socjalizmu.

Szczęśliwym trafem przetrwały w części piastowskiej zamku orły polskie i herby książąt świdnickich. Może dlatego, że Niemcy uważali Piastów Śląskich za zgermanizowanych Polaków, albo nawet za Niemców czystego autoramentu.

Niezmienne w ciągu wieków prawo kwaterunków wojskowych, już po wyzwoleniu, przypieczętowało los zbiorów książnowskich przy czym nie wiadomo, dlaczego czynniki kompetentne zawczasu nie zaopiekowały się cenną biblioteką, umieszczoną w budynku basztowym, w t. zw. baracе, mieszczącej dawniej załogę pierwszej linii obronnej grodu.

Dziś podlega zamek wraz z należącymi doń budynkami zarządowi Dolnośl. Zjednoczenia Przem. Węglowego. Doprowadzenie go do stanu używalności kosztowałoby wiele pieniędzy, tym niemniej gmach nadawałby się, ze względu na słynne ogrody, do niego należące, na instytut botaniczny lub inną instytucję badawczą o znaczeniu ogólno-naukowym, połączoną z mieszkaniami i t. d. 6-cio piętrowy gmach posiada centralne ogrzewanie, nowoczesne kuchnie, salę kinową itd. Zawsze jeszcze znalazłoby się w obrębie budynków podwórza zamkowego miejsce na punkt turystyczny i schronisko noclegowe oraz muzeum regionalne.

Książno nie może sterczeć odłogiem, nie pozwalają na to świetne jego tradycje polskie, reprezentatywność całości, walory architektoniczne kolosu i artyzm zachowanych jeszcze fragmentów wewnętrznych. Jego losem powinny zająć się sfery rządowe.

W przedziwny i przepiękny sposób, niezwykły i niezapomniany, zespolił się tutaj kunszt ludzki z cudami przyrody.

PROF. ALFONS SZYPERSKI



...rozpoczęły się ceremonie wstępne. Przewodniczący zmuszonym głosem zaczął burczeć coś pod nosem. Potem podsunął plik papierów drugiemu i tamten starczym, załamującym się głosem zaczął czytać akt oskarżenia... (str. 404)

(o) 448

Kogut i cztery kury ze znaczka pocztowego

Przemyskie wydawnictwo „Nowe Horyzonty" wydało katalog poczty obozowej w Murnau, oficerskiego obozu VII A, ułożony przez filatelistów tego obozu pod redakcją majora Tadeusza Chlebowskiego. Z broszurki tej, starannie wydanej i sumiennie opracowanej, oraz zaopatrzonej ilustracjami, dowie się czytelnik-filatelista najdokładniejszych szczegółów o znaczkach pocztowych tego obozu, w ilości 15 różnych wydań. Znaczki te mimo, iż nie są zasadniczo, w dosłownym znaczeniu, znaczkami pocztowymi, są jednak poszukiwane przez filatelistów i autorzy katalogu przestrzegają przed nabywaniem falsyfikatów.

Znaczki drukowano czcionkami, wykonanymi z drzewa, na różnego rodzaju papierach i w różnych kolorach. Motywy przeważnie czerpano z codziennego życia obozowego i to stanowi ich największą wartość. Klisze wykonywał i projektował por. rezerwy Tadeusz Kluźniak.

Najciekawszą historię ma znaczek Nr. 14 „Dopłata", przedstawiający na tle 5 jaj koguta i cztery kury, które w roku 1944 wyhodowano sztucznie w obozie. O tym wyczynie jeden z głównych inicjatorów, inż. chem. ppor. rezerwy, Kula Władysław opowiada:

„Dnia 5 maja 1943 r. w prowizorycznej, drewnianej wylęgarni, ogrzewanej maszynką (tak zw. fetowką) nasadziliśmy 14 jaj. Wszystko musiało być zakonspirowane przed Niemcami, gdyż w tym czasie był ostry zakaz palenia ogni otwartych w pomieszczeniach obozowych. Przez 21 dni czujna warta przy wylęgarni musiała utrzymywać stałą temperaturę i pilnować się przed kontrolą. Szczególnie w nocy trzeba było uważać, gdyż odblask światła, palącej się wewnątrz węglarni maszynki, oświecał sufit. W czasie kontroli niemieckiej gaszono fetówkę, a było to możliwe tylko dlatego, że — wylęgarnia traciła 1% ciepła dopiero po paru godzinach.

Pewnego dnia, pomimo czujności, odkrył „maszynę" niemiecki podoficer, ale nie zorientował się, że to jest wylęgarnia. Myślał, że jeńcy ukrywają przed nim jakiś aparat do gotowania. Uspokojony papierosami nie zameldował o swym odkryciu.

Po 21 dniach nastąpił wylęg. Wykluło się 5 kurcząt: kogut „Bartek" dalekowidz; czarna „Kaśka", ulubienica hodowcy, biała „Maryna", żółta „Magda" i szara „Helka".

W obozie zawrzało. Pielgrzymki całe przychodziły, ażeby oglądać ten cud natury i dzieło cierpliwości jenieckiej. Sprawa zdekonspirowała się. Niemcy początkowo ustosunkowali się do imprezy przychylnie i z uznaniem. Najpierw przybył kpt. Pohl i kpt. Oleschko, podejrzewając, że do wylęgu użyto prądu elektrycznego. Już wówczas korzystanie z niego było w obozie surowo wzbronione.

Na drugi dzień pofatygował się sam zastępca komendanta obozu oberstleutnant Gut. Jemu również podobał się wyczyn jeńców.

Ażeby wychować pisklęta sporządzono sztuczną matkę i przez blisko 4 tygodnie pilnowano troskliwie „sierotek".

Pod koniec czerwca przeniesiono kurczęta do kurnika, urządzonego w jednym z kątów obozowych. Ten hodowlany kącik stał się atrakcją obozu. Codziennie kilka tysięcy oficerów odwiedzało kurczęta, pytało, doradzało i pomagało żywić. Po 4 i pół miesiącach wzorowego karmienia kury zaczęły nieść. Jadły w tym czasie dużo zieleniny i rosły. Przezimowały szczęśliwie. Na drugi rok wychodziły już poza ogrodzenie i właściwie żyły na wolności, będąc nadal atrakcją i niejako własnością całego obozu.

Dnia 15 listopada 1944 r. hauptman Greeven zakomunikował nagle, że z rozkazu niemieckiego generała Petriego komendanta obozu, kury muszą być zabite.

17. 11. 1944 r. rano „wyrok wykonano". Obóz po tej egzekucji przechodził prawdziwą żałobę. Filateliści uwiecznili najbardziej popularnego i sławnego w świecie koguta i jego 4 towarzyszki w znaczku pocztowym.

Inny znaczek pocztowy „Cebulka" przedstawia budynek obozowy noszący tę nazwę, w którym mieściła się biblioteka obozowa, sale wykładowe i rozrywkowe, oraz kuchnia. Dalszymi motywami znaczków były druty kolczaste, trąbka pocztowa na tle gór, tryptyk z obrazu, umieszczonego w kaplicy obozowej, Alpy widziane z Murnau, wdowa klęcząca z dzieckiem przy grobie, fetówka, wynalazek jeniecki — maszynki do gotowania opalane tłuszczem oraz wyścigi obozowe koników drewnianych.

Nie brakło też okazyjnych znaczków, z okazji wystawy rybackiej i z okazji 100 przedstawienia teatru obozowego. Aby zwiększyć fundusze na pomoc dla więźniów w Oświęcimiu wypuszczono znaczek „Kraty".

Dla uczczenia P. C. K. w Miechowie, który opiekował się obozem w Murnau wypuszczono znaczek „Miechów". Powstaniu warszawskiemu poświęcono znaczek pamiątkowy z kolumną Zygmunta, na tle płonącej Warszawy.

Poczta obozowa dysponowała również odpowiednimi datownikami i kasownikami, które w katalogu są również szczegółowo opisane.

Dyrektorem poczty obozowej był por. Zdzisław Keller, znany na Śląsku przedwojenny dyrektor działu sprzedaży Browarów w Tychach.

Do obozu przybyła już pod koniec niewoli grupa oficerów z obozu Woldenberg. W obozie tym istniała również poczta, która wydała tam dużo bogatszy zbiór znaczków obozowych, zbiór grafik, drzeworytów itd. Grupa ta wydała z okazji uwolnienia obozu przez Amerykanów pamiątkowy znaczek, przedstawiający scenę uwolnienia obozu. Znaczek ten jednak filateliści zapiszą zapewne na rachunek obozu w Woldenbergu.

St. K.

Dokumentarna pamiątka po królu pruskim

»Regulament dla Dwuch Domów Poprawy w Szląsku«

Ciekawy dokument, świadczący o polityce królów pruskich w stosunku do ludności Śląska, znajduje się w zbiorach archiwalnych miasta Bytomia. **Jest nim wydany w Lesznie, w dniu 31 sierpnia 1800 r., przez króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma, „Regulament dla Dwuch Domów Poprawy w Szląsku".** Istnieją tu dwa wydania tego regulaminu — polskie i niemieckie, wykonane we wrocławskiej drukarni Wilhelma Bogumiła Korna. **Tekst polski dowodzi, że nawet pruski monarcha musiał uznać, iż na Śląsku lud mówi językiem polskim**, a zarządzenia, wydane tylko w języku niemieckim, były niezrozumiałą martwą literą.

Obszerny, 11-stronnicowy tekst regulaminu podzielony jest na wstęp i 4 rozdziały. We wstępie **„Fryderyk Wyllhelm z Bożey Łaski Król Pruski, Margrabia Brandenburski, Świętego Państwa Rzymskiego Arcy-Podkomorzy i Elektor, Samowładny i Naywyższy Xiążę Szląski etc. etc."** oznajmia, że poza założonymi przez jego przodków domami poprawy, t. j. Domem Inwalidów w Rybniku i Domem Ubogich w Kluczborku — ustanawia dalsze **„dwa Domy Robocze czyli raczey Poprawy lub Tułaczow w Szląsku, każdy na Osob 1000 bez rożnicy płci".** Dla oszczędzenia wydatków na budowę, król wyznacza na ten cel próżno stojące budynki pojezuickie w Świdnicy i Legnicy, pierwszy dla Wrocławskiego, drugi dla Głogowskiego Departamentu Kameralnego.

Rozdział I regulaminu (§ 1 — § 6) mówi **„O Osobach, które do Domów Poprawy brać należy".** Za takich uznaje się:

a) krajowych i zagranicznych żebraków, a zwłaszcza tych, którzy w ostatnich 3 latach nie mieli stałego zamieszkania, oraz cyganów — szczególnie niebezpiecznych cyganów należy umieszczać w twierdzach,

b) rzemieślników, uprawiających mimo zakazu żebraninę po wsiach i miastach,

c) luźnych strzelców, ogrodniczków, młynarczyków i piwowarczyków, będących ciężarem swych współbraci cechowych i żyjących z żebraniny,

d) niekoncesjonowanych muzykantów, marionecistów, kuglarzy, sztukmajstrów, wędrowników ze zwierzętami lub optykami, krajowych i cudzoziemskich kwestarzy, zbierających na pogorzele, zarazę lub inne cele, za wyjątkiem krajowych kwestarzy z ramienia ubogich klasztorów,

e) inwalidów i zdemobilizowanych żołnierzy, gdyż jedynie w miejscu swego urodzenia lub zamieszkania mieć powinni wsparcie,

f) wypuszczonych z twierdzy lub domu poprawy krajowych i obcych przestępców, jeżeli na wolności nie wykazują poprawy życia.

Możliwości zapełnienia więc domów poprawy były bardzo wielkie i całkiem zależne od uznania władz. **W latach klęsk społecznych właściwie cały proletariat śląski mógł być zakwalifikowany na pobyt w areszcie lub domach poprawczych.**

Rozdział II § 7 — § 26) zawiera przepisy **„O Imaniu, Transportowaniu Poimanych, Opatrzeniu, Zatrudnieniu i Wypuszczeniu Onych".** Niektóre paragrafy wykazują, że w okresie wydania regulaminu **istniały na Śląsku bardzo rygorystyczne przepisy meldunkowe.** Żadnemu mieszkańcowi i nawet proboszczowi nie wolno było bez wiedzy i aprobaty władzy lokalnej przyjmować obcego człowieka na nocleg. Kto w czasie podróży nie mógł wykazać się **„paszportem, kundszaftem, pozwoleniem, konsessyą i temu podobnemi dowody"**, był oddawany sądowi lub pod eskortą wędrował do domu poprawy. Koszty transportu pojmanego wynosiły do 5 czeskich na milę dla jednej osoby eskortującej, zaś 2 czeskie na wyżywienie za jedną dobę.

Znamy dobrze rażące różnice między teorią i praktyką w niemieckich więzieniach i obozach ostatniego okresu, to też z nieufnością traktujemy spis odzieży i wyżywienia, ustalony przez regulamin dla dawnych domów poprawczych. Ubiór męski więźnia miał się składać z szarej sukiennej kamizelki z rękawami, pary butów, pary wełnianych pończoch, pary szarych spodni sukiennych, czapki lub kapelusza, dwu koszul i co dwa lata z krótkiej sukni szarego koloru. Wyżywienie dzienne miało wynosić dwa funty chleba dziennie, na obiad gotowaną jarzynę, leguminę, kaszę itd, raz na tydzień mięso, w zimie z rana polewkę. — Leniwych i niedbałych więźniów należało zmuszać do należytej roboty. **Po pierwszym ujęciu pobyt w domu poprawczym trwał zasadniczo dwa lata, w razie ucieczki groziła kara 6 lat, a za drugą ucieczkę dożywocie.** Kto po pierwszym zwolnieniu nie wykazał poprawy, szedł na dalsze 6 lat do aresztu, następną zaś karą było dożywocie.

Rozdział III (§ 27—§ 32) wymienia źródła funduszów, potrzebnych na założenie i utrzymanie domów poprawy. Wydatki częściowo ponosi skarb państwa, częściowo pokrywa się je z pracy więźniów. W razie deficytu król zastrzega sobie osobiste prawo nakładania specjalnych opłat na dziedziców, miasta i gminy śląskie.

Rozdział IV (§ 33 — 39) ustanawia system administracji domów poprawy.

Dla orientacji, przytaczamy w całości ostatni paragraf tego rozdziału, w którym król daje wyraz swoim „ojcowskim" poglądom, zamiarom i nadziejom:

„Kiedy wszyscy, którym imanie Żebraków i Włoczęgów Regulament nineyszy przepisuie za powinność, temu obowiązkowi swemu zadosyć będą czynili, transporta zaś z czuynością i ostrożnością się odprawią, żeby zapobiedz ucieczkom, tudzież kiedy Domy Poprawy naprzeciw gwałtownym wydzieraniom się dostatecznie opatrzone i Szyldwachami obsadzone będą, Administrator zaś z Urzędu przepisane powinności sumiennie i przeciw Tułaczom surowo wypełniać, Xięża i Nauczycielowie do serca i przekonania skutecznie mówić potrafią: to bez pochyby Prowincya od Tułaczów i Żebraków w krótce oczyszczona zostanie. Ich w dalszym czasie coraz mniey będzie, mniey do imania do Domów Poprawy, kiedy przytrzymanie i oddanie każdego bez dowodu znayduiącego się będzie nieochybnym, a przez tę nieochybność i drugich w strachu utrzyma. Im mniey potrzebne będą Domy Poprawy w czasie swoim, tym bardziey przeto skutkiem pożądanym Zamiary Nasze Oycowskie uwienczone bydź uznamy". (jł)

Praktyczna inowacja poczty paryskiej

— Hallo! Czy to Centrala Informacji Pocztowej? Chciałbym się dowiedzieć, jakiej wartości znaczek mam nalepić na list, ważący 15 gramów, który ma być wysłany lotniczą pocztą do Pondichèry w Indiach francuskich? List jest bardzo pilny — czy mogłaby mnie pani poinformować, w którym biurze pocztowym mam go nadać i do której godziny najdalej powinienem to uczynić?

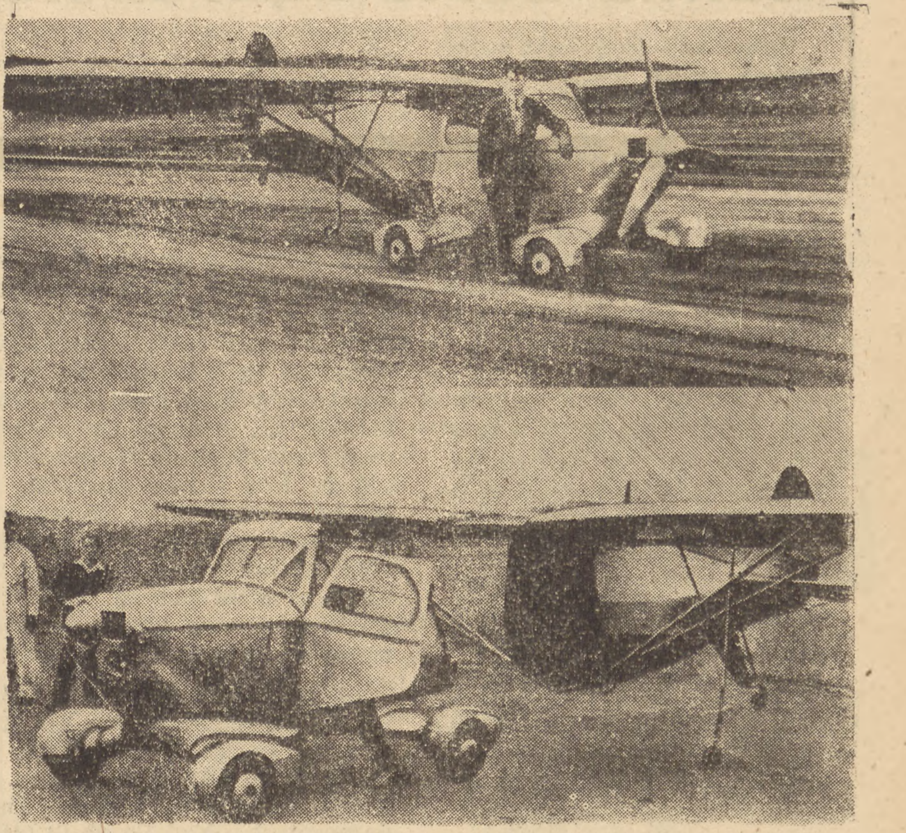
Po upływie minuty Paryżanin dostaje dokładną i uprzejmą odpowiedź. Nie potrzeba po temu specjalnego abonentu. Ponosi się jedynie koszty połączenia telefonicznego.

Zbiór regulaminowych przepisów pocztowych i tabele taryf zajmują 20 grubych tomów, co stanowi przeszło 50.000 stron gęstego druku. Zastęp wykwalifikowanych urzędników, świetnie orientujących się w tym labiryncie, daje przeciętnie 300 odpowiedzi na godzinę.

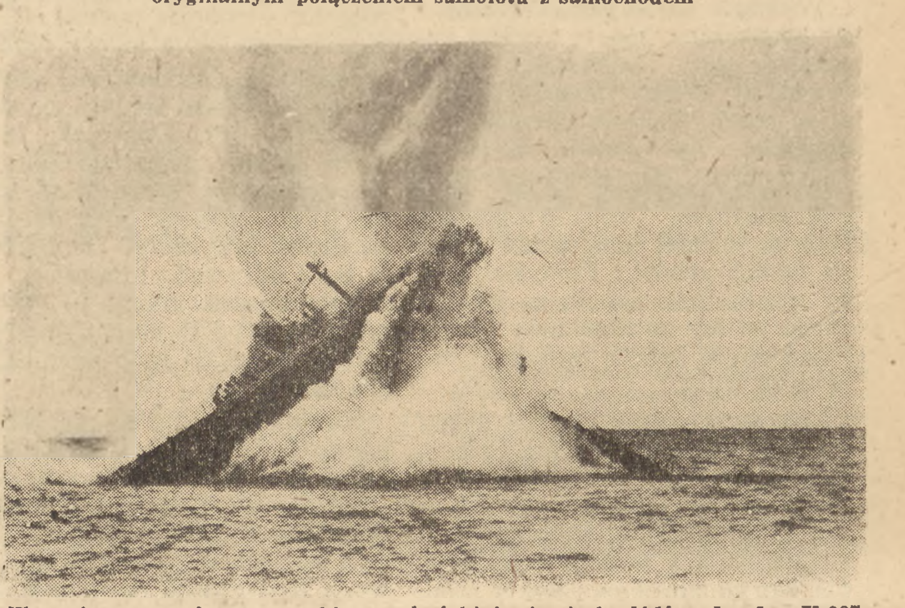
Można stąd uzyskać wszelkie informacje, dotyczące Poczty Francuskiej, a także Narodowej Kasy Oszczędności i Loterii Państwowej.

Paryż z zadowoleniem przyjął tę inowację.

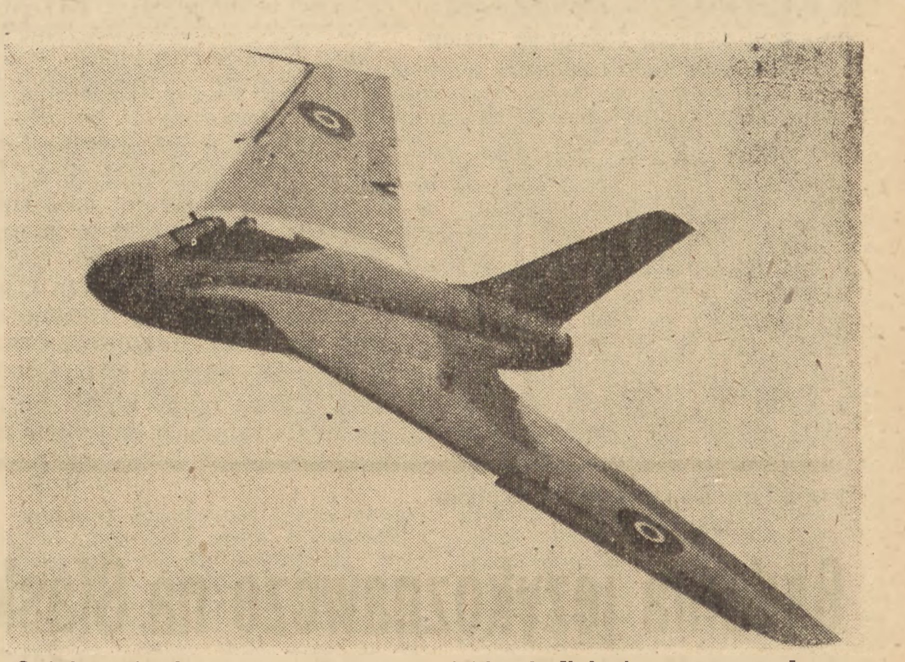
Technika



Jedna z firm amerykańskich wypuściła niedawno t. zw. „latające auto" będące oryginalnym połączeniem samolotu z samochodem



W czasie manewrów marynarki amerykańskiej, niemiecka łódź podwodna U-997, została użyta jako cel ćwiczebny. Na zdjęciu łódź trafiona celnie torpedą, idzie na dno.



„Latająca strzała", nowy angielski samolot bez kadłuba i ogona, z napędem rakietowym. Próby wykazały, że samolot ten będzie mógł osiągnąć nowy rekord szybkości.



Na angielskiej wystawie lotniczej, jesienią ub. r. znajdował się „Conliffe-Owen W 9", helikopter nowej konstrukcji, o napędzie rakietowym. Żartobliwie zwią go „Latającym drenem"

Halina Maria Dąbrowolska

W OBOZIE

(Oparte na autentycznych materiałach zeznań więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.)

W dużej odległości od obozu w Oświęcimiu zaczęto budować wysoki nasyp, pod kolejkę. Jaki on miał mieć kierunek i cel, nikt nie wiedział. Krematorium w Brzezinkach było jedno i nie sadzono wówczas, że aż wagonami trzeba będzie tam wieźć zagazowane trupy.

Tymczasem w Oświęcimiu fabryka śmierci zajmowała nieduży, biały domek, który mało kogo straszył.

Numer 84004, w zwykłym życiu Henryk, zaraz po przywiezieniu z transportem, został przydzielony do wynoszenia trupów. Nie wiedział, że Niemcy prześladują tych, którzy mają uniwersyteckie studia, i przyznał się, że jest lekarzem. Dlatego dano mu tę pracę.

W obozie, zaraz pierwszego dnia za upuszczenie łopaty wybito mu przednie zęby. Zaskowytał z bólu i zemdlał. Wtedy dozorca kopnął go w nerki. To nowe cierpienie go obudziło. Tak zwykle oprawcy drugą torturą zagłuszali pierwszą.

Rozbierając się wieczorem, Henryk znalazł za koszulą jeden ze swoich zębów. Pomyślał, czy by miała jego ukochana jeszcze smak w ich pocałunkach, dotykając pustej jamy zamiast jego pełnych warg.

Następnego dnia Henryk dostał pracę w szpitalu. Lekarze Polacy, Francuzi, wszyscy nie Niemcy — brani byli na sanitariuszy. Felczerzy germańscy, żołnierze często nie mający pojęcia o medycynie, leczyli więźniów i nawet robili operacje.

Henryk, oprócz mycia podłóg w szpitalu, co wieczór dodatkowo, po apelu dźwigał zmarłych. Dziennie wówczas w Oświęcimiu umierało koło sześciuset ludzi. Byli to zabici przy pracy, ci, co padli z wyczerpania, głównie zgładzeni zastrzykami fenolu. Odbywało się to tak: zwykle lekarz, Niemiec, w asyście przebiegał salę chorych, a później baraki więźniów. Wskazywał na więźnia bez uprzedniego badania, na oko. Komendant brał w rękę kartę chorych i odrzucał, ktoś inny przykładał pieczęć, a Kapo na piersiach skazanego pisał numer, co oznaczało śmierć.

Działo się to błyskawicznie. Nim chory się opamiętał — stał już w szeregu. Każdy ze skazanych się rozbierał. Wszyscy na jedno miejsce musieli składać koszulę, na inne buty, aby w porządku. To było ważne, nie życie ludzkie. Ci, z numerami na piersiach, w pośpiechu wchodzili do pokoju. Pod oknem stał biały fotel, jak u dentysty. Ściany były bielone, zwyczajne, drzwi malowane na brązowo. Izba nie różniła się niczym od innych izb lekarskich, mimo że tyle tysięcy odchodziło stąd już tylko w grób.

Człowiek w białym kitlu chwytał ramię, najobojętniej, nie spojrzawszy nawet w twarz tego, kogo przecież z a b i j a ł. Robił zastrzyk machinalnie, szybko, naglił do pośpiechu. Nudziła go ta masowa produkcja nieboszczyków. Do więźniów w obozie odnosił się jak do pluskiew, które należy tępić.

Skazańcy do ostatniej chwili nie zdawali sobie sprawy, co się z nimi dzieje. Mieli nadzieję, że to może zabieg przeciw epidemii. Niczemu się nie sprzeciwiali. Czasem tylko młode kobiety czepiały się drzwi, krzyczały. Trzeba było je bić i odrywać przemocą. To zajmowało czas innym, to był nietakt i złe wychowanie. Czemu jak kokosze uciekają spod noża i czynią zgiełk?

Nie zda się to już na nic. Nic nie pomoże. Jeżeli zastrzyk fenolu otrzymał lekarz lub inny ktoś wiedzący, że zostaje uśmiercony, odchodził z całym spokojem, ręką czy uśmiechem pozdrawiał żywych, dodawał im odwagi. Po zastrzyku ludzie mieli jeszcze tyle siły, żeby przejść mały korytarzyk do następnych drzwi. Z korytarza wychodziło na podwórze okno. Z niego to mogli widzieć śnieg, trawę i przestrzeń niebieską.

Każdy idący już ze swoją śmiercią w sobie, spoglądał chociaż na mgnienie sekundy — na chmury lub błękit. Jakby brał na zapas w płuca, w duszę — niebo. Ale i tu więźniów pchano, żeby szli szybko i ociąganiem swojej ostatniej minuty nie psuli organizacji pracy.

Poza korytarzem był mały pokoik, znowu jakby nigdy nic, tylko leżało tam na ziemi wielu martwych ludzi. Wchodzący nie mogli się już cofnąć i nie mieli sił, bo od zastrzyku do śmierci zostawało im tylko tyle czasu co do przejścia przez korytarz. Padali zaraz następną warstwą na umarłych.

O zmroku przyjeżdżała ciężarowa platforma, Henryk i Jacek brali trupy. Jeden chwytał ciało za ramiona, drugi za nogi, rozhuśtywali je w powietrzu dlatego, by było lżejsze, i rzucali na wóz. Kilkaset zwłok co dzień... Dozorcy Niemcy pilnowali, żeby praca szła jak najprędzej z mechaniczną sprawnością.

Ten wieczór był wietrzny i zupełnie ciemny. Znudzony Kapo się odwrócił, na aucie leżał duży stos zwłok, przygotowanych do wywiezienia. Jacek z Henrykiem dorzucali wciąż nowych. Nagle ze spiętrzonej masy ciał na platformie wozu dźwignęło się jakieś białe widmo. Nagi człowiek, widać nie zabity całkowicie, ocknął się i zrozumiał, gdzie jest. Był młody, ciemny, jego budowa ciała tak przypominała Henryka, że zobaczył jakby swego sobowtóra. Nagi zsunął się bezszelestnie na ziemię i obejrzał na żywych. W wykrzywionych przerażeniem ustach nie było też zębów.

Przed więźniami rozciągał się plac pusty. W każdej chwili dozorca mógł się obejrzeć. Nie było gdzie się skryć. Niedaleko rozlewała się czarna woda, zamarła sadzawka. Henryk usłyszał plusk. Więzień widać tam się skrył. Niemiec zapytał, co wpadło do wody?

— Kamień — mruknął Henryk i zaczął hałasować, ażeby odwrócić uwagę Kapo od trupa, który chodzi.

Wóz z ciałami już był załadowany i odjechał, gdy gromadka sanitariuszy i ich eskorta mijała ciemną wodę. Henryk spojrzał ukradkiem: z pomiędzy fal majaczyło coś, jak wielka biała ryba. Znowu doznał wstrząsu, jakby siebie samego zobaczył, tak zawieszonego w cieczy.

Człowiek ten jeszcze żył. Czy zdoła uciec?

Na drugi dzień Henryk o brzasku przedarł się nad wodę. Nie leżał w niej już nikt. Więc znikł jego sobowtór. Uczuł ulgę. Wtem zobaczył na dalekiej zaporze z drutów nagie, skręcone zwłoki. Teraz to już był napewno tylko trup, trup tamtego zbiega. Nieszczęsny uniknął jednej śmierci, dosięgła go inna — porażenie prądem.

I Henryk, który co dzień z suchymi powiekami wyrzucał setki trupów, tutaj zapłakał oczami, z których jedno już miał wyłupione.

„Nowa Polska" — Londyn

Nieznane dzieje litografii w Polsce

W roku 1812 pewien żołnierz napoleoński zobaczył w Paryżu maszynę litograficzną. Opowiedział o niej swemu zwierzchnikowi, którym był Siestrzyński i od tej chwili obaj wprost zachorowali na tę nową sztukę. W roku 1818 widzimy ich obydwóch w zakładzie, który dla obu maniaków ufundował trzeci maniak, a mianowicie Aleksander Chodkiewicz. W zakładzie tym, pracującym raczej na płaszczyźnie amatorskiej, powielają swe prace tacy jak: Brodowski Antoni, Sokołowski Jakób, Śliwicki Walenty i jego żona Weronika, Krethlow, Oleszkiewicz (brat Józefa), Suchodolski January, Blank Antoni i inni.

Już w rok później Siestrzyński urządza pracownię litograficzną przy Warszawskim Instytucie Głuchoniemych, a w r. 1820 wychodzi u Chodkiewicza pierwsze dzieło litograficzne „Portrety wsławionych Polaków z ich opisaniem".

Nie handlowo postawiona pracownia litograficzna zjadła ogromną fortunę Chodkiewicza, niemniej jednak powstają nowe zakłady o różnych celach. Już w roku 1820 biuro sztabów przy kwatermistrzostwie generalnym urządza pracownię litograficzną, przy której gromadzi szereg wybitnych grafików, wydaje mapy, plany sztabowe, pięknie wykonane, o dużej precyzji. W r. 1830 Hornst wydaje u Kośmińskiego galerię portretów sławnych Polaków, obejmującą 36 plansz, opatrzonych tekstem. Powstaje instytut litograficzny szkolny, pracownia Letronne'a, znanego akwaforcisty. Wreszcie zakład Maksymiliana Fajansa, który również był niezwykłej pracowitości litografem. Fajans grupuje wokół siebie takich, jak Maria Hermanowa (siostra Klementyny z Tańskich Hofmanowej) i jednego z najwybitniejszych artystów litografów ubiegłego stulecia, Władysława Welkiewicza.

Dziś prace litografów polskich, takich jak: Jan Lelewel (brat Joachima), Chodkiewicz, Anglik Songin, Fajans czy Walkiewicz — należą do niezwykłych rzadkości.

Na ostatniej aukcji bibliofilów w Londynie zapłacono 6.000 funtów szterlingów za litografię Siestrzyńskiego, reprodukującą jeden z obrazów Aleksandra Orłowskiego, a zbiór litografii Januarego Suchodolskiego (Typy polskie) przeszedł za cenę 18.000 funtów.

Zbiory litografii XIX wieku w Muzeum Narodowym zostały wywiezione do Rzeszy i istnieje słaba nadzieja ich odzyskania. Zbiory Zygmunta Glogera, przewiezione do Warszawy przed powstaniem i zbiory rodziny Gomulickich, obejmujące ponad 20.000 starych litografii spłonęły podczas powstania.

Warto zaznaczyć, że pierwsza polska pracownia litograficzna Chodkiewicza odbijała kilkanaście, względnie kilkadziesiąt sztuk danej reprodukcji i cały ten „nakład" Chodkiewicz rozdawał bezpłatnie znajomym i przyjaciołom. Pierwsze poważniejsze ilościowo nakłady wyszły dopiero z pracowni Fajansa, ale i te należą dziś do białych kruków, jak np. dzieło pod tytułem „Wzory sztuki średniowiecznej", opracowane przez Aleksandra Rastawięckiego.

PROF. DR STANISŁAW ROSPOND
(Instytut Śląski)

Badania językoznawcze na Śląsku

(Sprawozdanie sekcji językoznawczej Instytutu Śląskiego we Wrocławiu za rok 1946).

W powojennej organizacji wiedzy o **Śląsku — zwłaszcza Dolnym —** nie mogło zabraknąć dyscypliny językoznawczej. Była ona i przed wojną reprezentowana w ramach prac „Instytutu Śląskiego". Mam na myśli zwięzły i rzeczowo ujęty plan, opracowany w 1936 r. przez prof. **K. Nitscha (Stan i potrzeby językoznawstwa polskiego na Śląsku).** Niestety wojna przerwała wykonanie nawet **minimalnego planu badawczego,** nakreślonego przez tego wybitnego polskiego językoznawcę.

Toteż z uznaniem należy powitać inicjatywę „Instytutu Śląskiego", że zaraz w początkach organizowania polskiego życia naukowego we Wrocławiu pomyślał o sekcji językoznawczej „Instytutu Śląskiego" w oparciu o naukowy ośrodek wrocławski.

Z chwilą podjęcia się zorganizowania **badań językoznawczych na Śląsku, głównie na Dolnym, zdawałem sobie sprawę, że planowanie musi liczyć się: 1) z koniecznością przerzucenia punktu ciężkości poszukiwań na Dolny Śląsk — przynajmniej w I etapie badań —** ze względu na odzyskanie całego Śląska, 2) z koniecznością pogłębienia badań historyczno-językowych, 3) z możliwościami finansowymi Instytutu.

W planowaniu o takim nastawieniu na zagadnienia aktualno-językowe, **autochtoniczne i historyczno-językowe kierowałem** się nie tylko wymogami „czystej" nauki, ale i stosowanej. Brałem bowiem pod uwagę możliwość włączenia językoznawstwa w dzieło odbudowy kulturalnej Ziem Odzyskanych. Uważam bowiem, że nauka polska ma tu wypełnić swój obowiązek państwowy i narodowy przez odkrycie prawdziwego, polskiego oblicza Śląska.

Tak pojęte badania musiały uwzględnić stronę historyczno-językową i dialektologiczną. Dzieje języka polskiego na Śląsku to są między innymi problemy takie jak: 1) historyczna dialektologia śląska, 2) symbioza elementu polskiego i niemieckiego w perspektywie geograficznej i chronologicznej, 3) analiza językowa ważniejszych dokumentów historycznych („Księga Henrykowska" oraz obszerny onomastikon z XIII wieku, tj. nekrologium wrocławskich premonstratensów, zawierający około 1200 imion), 4): Śląski, historyczny onomastikon i toponomastikon (poklasyfikowanie, zetymologizowanie śląskich imion i nazw miejscowych), 5) analiza językowa ważniejszych druków śląskich (Roździeński, Gdacjusz, Anonimowy „Polak w Śląsko", Bock itp.). Ponieważ poza artykułem prof. W. Taszyckiego: **„Język polski na Śląsku w wiekach średnich" oraz jego broszurą „Śląskie nazwy miejscowe"** nie posiadamy żadnej poważniejszej pracy z działu historyczno-**językowego (praca K. Damrota,** „Die älteren Ortsnamen Schlesiens" jest przestarzała) dlatego całą naszą wiedzę historyczno-językową o Śląsku — zwłaszcza Dolnym — trzeba budować od podstaw, od fundamentów. Czy wiemy bowiem, jak mówiono w XVII w. w okolicach Sobótki czy Wrocławia? Czy wiemy dokładnie, kiedy i do kiedy mówiono po polsku w okolicach Żegania, Żarów, Legnicy, Świdnicy itp.? Czy wiemy, jakie bezcenne „silesiaca" mogły ukrywać przedwojenne biblioteki i archiwa śląskie? Odpowiedź na wszystkie te pytania wypada negatywnie.

A zatem rzeczywiście od fundamentów, tj. od zebrania jak najobfitszego materiału źródłowego, trzeba rozpocząć poszukiwania historyczno-językowe. Toteż w I etapie badań nie tylko historyczno-językowych, ale i dialektologicznych postanowiłem zebrać razem ze współpracownikami (prof. L. Ossowski, dr. S. Bąk, mgr. K. Heintsch, as. J. Loretówna, as. Z. Gołąb, J. Miszczakówna) obszerny materiał i przedrukowywać go w ramach wydawnictwa: ŹRÓDŁA JĘZYKOWE ŚLĄSKA; a) historyczne (polskie księgi gruntowe, parafialne, sądowe itp. materiały archiwalne, b) przedruki druków śląskich), c) dialektologiczne, (np. Gdacjusz, gramatyki, słowniki napisane na Śląsku i dla Ślązaków).

Jeżeli bowiem mamy udowodnić polskie oblicze Śląska w **przeszłości** i teraźniejszości, to mają przede wszystkim przemówić gołe fakty tj. słowo polskie z pożółkłych kart średniowiecznych, z nowszych druków, licznych słowników, gramatyk, kluczów językowych oraz z ust autochtonów Ślązaków z okolic Brzegu, Sycowa, Namysłowa, Wschowy.

Wyłowienie jednak odpowiedniego materiału z bibliotek czy archiwów napotyka dzisiaj na duże trudności. Dzisiejszy historyk języka polskiego na Śląsku nie wchodzi do archiwum z gotową listą interesujących go i zinwentaryzowanych materiałów rękopiśmiennych. Wchodząc bowiem do archiwum, widzi przed sobą stertę zwalonych ksiąg, z których ma wyłowić to cenne słowo polskie. A to już wymaga całego sztabu współpracowników, archiwistów. Często cały miesiąc żmudnej pracy w poszukiwaniu polskich aktów sądowych, cechowych, górniczych, ksiąg katastralnych, kościelnych nie przynosi żadnego rezultatu. Pomimo tego spodziewamy się, że może kiedyś uda nam się odnaleźć jakąś księgę polską z Dolnego Śląska. Byłoby to ważne dla historycznej dialektologii śląskiej. To, że mówiono po polsku w XVII w. po lewym brzegu Odry, a w XVIII w. i z początku XIX wieku pod Wrocławiem, to wiemy! Ale jak mówiono? Jakim dialektem? Czy mazurzącym, czy niemazurzącym? Z wymową dyftongiczną niektórych samogłosek czy niedyftongiczną? Te i tym podobne pytania nasuwają się dla historycznego dialektologa. Dotychczasowe poszukiwania archiwalne (mgr. K. Heintsch, E. Stoffel i J. Miszczakówna) polegały na przewertowaniu około 1000 ksiąg archiwalnych we wrocławskim Archiwum Państwowym oraz około 1800 starodruków w Bibliotece Uniwersyteckiej. Przyniosły one następujące wyniki: dużo materiału ono- i toponomastycznego z ksiąg gruntowych XVII—XIX wieku, co łącznie z kartoteką historyczno-toponomastyczną, zbieraną przez niemiecki Uniwersytet Wrocławski przed wojną zdaje się (Archiv für hist. Kommision Schlesiens), przypadkowo przezemnie znalezioną — niestety zdekompletowaną — oraz z kartoteką toponomastycznej komisji regionalnej, pracującej z ramienia PAU oraz „Instytutu Śląskiego" pod kierownictwem prof. W. Semkowicza i prof. W. Taszyckiego — stanowi obszerny materiał do ewentualnego, gruntownego historycznego opracowania śląskich nazw miejscowych. Ponadto znaleziono (mgr. K. Heintsch) księgę cechową, spisaną w języku czeskim, niemieckim i polskim z lat 1540—1770 z Pszczyny. Czekają też na opracowanie stare dokumenty polskie. W najbliższym czasie poszukiwania te poprowadzimy w Bibliotece Kapitulnej, w której może natrafimy wśród ksiąg parafialnych na polskie zapiski.

Z Biblioteki Uniwersyteckiej wybrałem pewne druki z XVII—XIX wieku (Geissner, J. Roter, M. Dobracki, J. Ernesius). Z nich na szczególną uwagę — ze względu na historyczną dialektologię Śląską — zasługuje książeczka anonimowego autora, podpisanego inicjałami E. G. H.: „Der hoch- und plattpolnische Reisegefährte f. d. reis. Deutschen nach Südpreussen und Oberschlesien, Breslau 1804". Autor w czterech kolumnach podaje: 1) wyraz lub zdanie niemieckie, 2) plattpolnisch (czyli po śląsku), 3) hochpolnisch (po literacku), 4) wymowa plattpolnisch podana na niemiecki sposób. Dla językoznawcy najcenniejsza jest kolumna 2 i 4. Ma tu bowiem jeden z bogatszych zbiorów — zwłaszcza w dziale leksykalnym — dialektyzmów śląskich. Z tych względów postanowiłem jako I t. ŹRÓDEŁ JĘZYKOWYCH ŚLĄSKA przedrukować tę książeczkę, znaną już Bandtkiemu i Dobrowskiemu. Praca nad komentarzem językowym dobiega końca.

Do zrekonstruowania przeszłości językowej podąża językoznawca nie tylko drogą bezpośrednią, tj. przez teksty polskie, ale i pośrednią, okólną. Z braku tekstów musi zadowolnić się luźnym materiałem w postaci imion i nazw miejscowych ew. wyłowieniem dialek-



Po sezonie myśliwskim

PROF. RUDOLF WACEK.

Po sezonie. Umilkły wrzawy naganiaczy, wsiąkły w lasy i bory salwy linii strzałów myśliwych, zniknął z białych pól i łąk dym strzelb, szukających za szarakami. Nieliczni myśliwi tropią jeszcze dziki, nieliczni przeszkadzają lisowi-mykicie w jego miłosnych zalotach, ale większość zawiesiła już strzelby na kołki.

Mamy za sobą ubiegły sezon z nową dozą doświadczenia i obserwacji. Postaramy się też na tej podstawie scharakteryzować stan naszego łowiectwa i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Trzeba się zastanowić co robić, by podupadły sztandar św. Huberta dźwignąć na nowo.

Wojna światowa zaskoczyła nasze łowiectwo w momencie świetnego rozwoju, w momencie kiedy zrozumiano, że to nie tylko szlachetny sport, ale i ważny dział gospodarstwa ojczystego. Sława naszych polowań wyszła daleko poza granice, dotarła do Albionu i nauczyła obcych cenić nasze łowiectwo. Braliśmy udział w wszechświatowych wystawach łowieckich, a krytyka zagraniczna prasy fachowej, wypadała dla nas jak najlepiej.

Ale długoletnia inwazja hitlerowska zmieniła sytuację radykalnie i to w jak najbardziej ujemnym tego słowa znaczeniu. Cały dorobek polskiej kultury łowieckiej runął od jednego zamachu. Świetny stan zwierzyny łownej, jak n. p. jeleni w górach, troskliwa ochrona kuropatwy, zakładanie bażantarń, zwierzyńców, ochrona bobra, łosia, niedźwiedzia, kozicy i świstaka, radykalne tępienie szkodników i kłusowników, prowadzone z wielkim nakładem pracy i wysiłkiem finansowym, było dorobkiem polskiej kultury łowieckiej, polskiego rolnika i polskiego myśliwego. Został on zniszczony przez okupanta.

W obecnym stanie rzeczy, sytuacja jest jeszcze o tyle ciężka, że do szeregów myśliwskich weszła falanga nowych ludzi, nie zawsze obznajomionych z racjonalną gospodarką łowiecką. Wielu z nich to nie myśliwi, lecz strzelcy i to nieraz strzelcy na gremialnych polowaniach — bardzo niebezpieczni. Ludzie ci wdarli się w rozmaite towarzystwa myśliwskie, niektórzy z nich zręcznie wykorzystali sytuację, powydzierżawiali tereny łowieckie, a są nawet i tacy, którzy polują, gdzie im się tylko żywnie podoba. Wielu z nich nie zna życia i zwyczajów zwierzyny, nie zna lasu, nie ma wiadomości przyrodniczych, nierzadko nie zna nawet broni, a co najgorsze kardynalnych zasad regulaminu myśliwskiego. Broń, strój paradny, teren do polowania, poparcie spółki myśliwskiej, czy innej instytucji — nie są dostatecznymi kwalifikacjami na myśliwego. Nierzadko taki myśliwy wysuwa się z linii, strzela ci do zająca pod nosem, lub tak, że śruty gwiżdżą koło głowy, nabojów nie wyjmuje z broni, gdyż idąc z miotu w miot może coś zastrzelić, a często spotkasz go nie pod ścianą miotu, lecz ze strony przeciwnej. To jedna kategoria myśliwych. Drugą stanowią ci, którzy depcą po polach, pamiętając dobrze o każdej miedzy, spod której ostatni szarak wyskoczył i już na drugi dzień niosą go do znajomego restauratora. Ci, są w stanie tak długo deptać i siedzieć po nocach księżycowych, aż wydepcą i wyśledzą wszystko, co żyje jeszcze na ich terenie. Wtedy pójdą na pole, lub pod las sąsiada, byleby tylko mieć do sprzedaży sarnę, bażanta, czy też kuropatwę, i to nawet w lutym.

Są też tacy „myśliwi", którzy nie mają nigdzie prawa polowania, ale polują. Wysiadają na którejkolwiek stacji, zasiadają w miejscu wypatrzonym, by rankiem wrócić z ubitą kozą, czy zającem. Zdaje mi się, że wojna „wychowała" wielu takich „myśliwych", którzy widzą korzyść w mięsie lub skórce ubitego zwierza. Nie twierdzę tu, że zwierzyny ubitej nie należy sprzedawać. Przeciwnie: koszty polowań są bardzo wielkie, więc racjonalna gospodarka łowiecka, winna dać nie tylko zadowolenie, ale i korzyść. Ogromna jednak różnica zachodzi, między dwoma typami myśliwych, sprzedających zwierzynę, a to: myśliwym hodowcą i dżentelmenem, a myśliwym strzelcem i kłusownikiem.

Czy jest na to rada? Jest. Lecz nie nagła. Trzeba tu kilku lat pracy, wytrawnych referatów łowieckich po starostwach, czujności milicji, która winna otrzymać ostry nakaz ścigania kłusowników, oraz odpowiedniej weryfikacji członków towarzystw łowieckich.

Przy akcji wychowawczej nie wystarczą same przypomnienia, przestrogi, czy rozkazy, ale konieczne jest radykalne postępowanie, nakładanie wysokich kar, unieważnianie dzierżawy polowań, zamykanie obstrzału zwierzyny, kary za podawanie w lokalach kuropatwy czy zajęcy w marcu, szczegółowa kontrola kart myśliwskich i kart na broń, — do czego potrzebna jest współpraca władz administracyjnych i wszystkich prawdziwych myśliwych.

Jesteśmy po sezonie! Pół roku dzieli nas od nowego sezonu. Wiele w tym czasie można zdziałać. Nie zapominajmy tylko o zasadach i hasłach myśliwskich.

Prof. Rudolf Wacek.



Miasta dzikich kaczek

Amerykanie i Anglicy są urodzonymi myśliwymi i rybakami. Lubią się oderwać na week end od miasta i spędzić wolny czas ze strzelbą na ramieniu w lasach i polach, w poszukiwaniu za zającem, lisem, ptactwem błotnym czy też z wędką, by złapać pstrąga czy łososia. Specjalnie pociąga myśliwych dzika kaczka.

Gdzie są myśliwi, tam rodzą się równocześnie organizacje myśliwskie i kluby. Takim klubem jest m. in. klub Of More Game Birds in America, Inc. Zasługuje na specjalną uwagę, ze względu na ruchliwość klubu, który ogarnia swą działalnością dwa wielkie organizmy państwowe i zdołał na przestrzeni paru lat powiększyć ilość dzikich kaczek sześciokrotnie.

Z inicjatywy, mającej na celu miłe spędzenie czasu dla myśliwych, zrodziło się dzieło, które ma także dużą doniosłość w gospodarce narodowej Stanów i Kanady.

Dawna Ameryka i Kanada niezaludniona, pełna bagien, wód, potoków i jezior, jeszcze około 1875 r. była rajem dla myśliwych. Samych kaczek dzikich nad tymi krajami latało, według obliczeń i szacunków uczonych, około 400 milionów sztuk.

Później przyszedł człowiek uzbrojony w maszyny i pługi i objął szerokie niwy pól pod uprawę pszenicy, zdrenował pola, osuszył bagna, wytępił bobry i zniszczył kunsztowne ich tamy. Coraz to mniej było miejsc, w których kaczki mogły wysiadywać swe nowe pokolenie. Znawcy obliczali ilość kaczek w 1935 r. jedynie na 27 milionów. Olbrzymia susza z 1928 r. szczególnie zabójczą była dla tego ptactwa.

Ten katastrofalny spadek pogłowia obudził uwagę dalej patrzących w przyszłość sportowców i myśliwych, zorganizowanych w klubie i nakazał im wystąpić z inicjatywą odbudowy miejsc wylęgowych dla tego rodu ptasiego, głównie w Kanadzie, a to z uwagi, że około 70 proc. wszystkich kaczek amerykańskich tam się właśnie wylęga. Myśliwi ci stworzyli wielką organizację t. zw. Duck Unlimited, w stanie Columbia oraz równocześnie taką samą organizację w Kanadzie, z siedzibą w Winnipegu.

Jakaż była zagadka tego ciągłego spadku liczby kaczek? Kaczki każdej wiosny lecą na północ, szukając miejsc na gniazda wśród różnych trzęsawisk, bagien i mielizn. Tragedią kaczego rodu jest jednak okoliczność, że młode kaczątko trzeba karmić przez 6 tygodni zwierzęcą karmą, różnymi larwami, muchami wodnymi, gąsienicami. Tymczasem duże ilości mokradeł wysychają w tym okresie. Giną tereny żniwne dla kaczek i ginie przez to matka i dziecko. Oszacowano stan ginących z tego powodu ptaków na zachodzie Kanady na 21.800 tys. ptaków. W 1938 r. w samym Stanie Alberta w okolicy Many Island Lake, znaleziono około 100.000 kaczek wraz z młodymi, które zginęły z powodu posuchy.

Duck Unlimited postanowiło więc urządzić miasta wylęgowe dla kaczek przy stawach, wodach i jeziorach. Urządza się tamy na potokach i rzeczkach po to, by wody prędko nie spływały i bagna nie osychały. Zapędzono do roboty bulldozery, które w czasie wojny oczyszczały miasta z gruzów, budowały lotniska i drogi, a teraz mają robić stawy i budować tamy. Dynamit jest też pomocny przy usuwaniu ziemi i robieniu zagłębień i nor. Blisko 1.000.000 akrów terenu jest objęte 155 różnymi projektami tej organizacji.

Myśliwi umieli przekonać centralny rząd kanadyjski i rządy stanów o pożyteczności akcji. Wciągnięto do współdziałania farmerów, myśliwych, przewodników leśnych i kupców.

Wrogiem kaczek i ich młodych okazują się wrony, które w milionach sztuk przyleciały za farmerami na zachód, sroki, ziemne wiewiórki, szczupaki, ryba „jackfish". Wrogom tym, a zwłaszcza wronom, wydano wojnę, do której wciągnięto także dzieci szkolne, by z gniazd wronich wybierały jaja. Żarłoczne to plemię spadło dzięki tej akcji do jakichś 2 milionów sztuk. Sam „jackfish" pożera około 8 milionów kacząt rocznie.

Skutki budowy tych miast wylęgowych są już widoczne, Tereny „miast" zamieszkały setki i tysiące ptaków. Jesienią 1944 r. około 140 milionów kaczek znów latało z Kanady na południe do Stanów, ku radości amerykańskich myśliwych.

Farmerzy kanadyjscy, którzy początkowo patrzyli na prace organizacji z nieufnością, obecnie przekonani, dają również pomoc. Bydło bowiem uzyskuje nowe wodopoje, przeprowadzenie różnych projektów melioracyjnych i nawodnienie podnosi zbiór siana na łąkach, na stawach i jeziorach hoduje się szczury piżmowe, których futerka przynoszą farmerom grube tysiące dolarów.

W miejscu, gdzie bulldozer nie może pracować i pogłębiać stawów oraz budować tam, zastępują człowieka i jego narzędzia wspaniali budowniczowie wodni świata zwierzęcego, specjalnie sprowadzone bobry. One to, tworząc dla siebie własne osiedla, tamy i urządzenia nawadniające, budują także dla kaczek ich miasta wylęgowe, w których nie grozi już kaczątkom śmierć z powodu posuchy. Człowiek Kanady zarobi znów wielkie pieniądze na drogiej skórce bobrowej. **St. K.**

Amerykańskie dziwactwa

Jak podaje prasa amerykańska, mr. Hungerford z San Francisco zrobił sobie kiedyś zapas drogich cygar i wraz z innymi przedmiotami wartościowymi ubezpieczył je na wypadek włamania, pożaru i innych niepożądanych wypadków. Wypaliwszy zaś cygara zażądał odszkodowania: cuda z Hawany zostały w ogniu zniszczone i tym samym zawarta umowa weszła w życie.

Naturalnie Tow. Ubezpieczeń — jeśli można tak powiedzieć — jest automatycznie związane z ubezpieczonym przedmiotem. Wobec tego mr. Hungerford zwrócił się do sądu. Sędzia uznał ważność polisy, a tym samym słuszność skargi palacza i przyznał mu sumę ubezpieczeniową.

Towarzystwo Ubezpieczeniowe więc musiało zapłacić i uczyniło to, ale jednocześnie oskarżyło Mr. Hungerforda o podłożenie ognia pod przedmioty ubezpieczone. Został on aresztowany i skazany na rok więzienia.

Nowe metody leczenia

Fizjoterapia i t. zw. terapia zajęciowa — te dwa nowe rodzaje leczenia rozwinęły się ostatnio na szerszą skalę w Stanach Zjednoczonych A. P.

Fizjoterapią nazywają Amerykanie sztukę ponownego nauczenia muskułów wykonywania normalnych skurczów po doznanych złamaniach kości względnie chorobach nerwowych. Terapia zajęciowa — to sztuka zajmowania chorych, przygotowywania im rozrywek i oddziaływania tą drogą na czynności władz umysłowych.

Mężczyźni, kobiety czy dzieci, którzy w wyniku przeżyć wojennych stali się niezdolni do życia społecznego, przy pomocy nowej metody leczenia odzyskują zdrowie.

W Ameryce wzmaga się coraz więcej zapotrzebowanie na lekarzy, stosujących fizjoterapię, zwłaszcza wobec coraz większej ilości wypadków paraliżu dziecięcego na które zapadają tysiące dzieci rocznie.

Kursy przygotowawcze fizjoterapii trwają około dwóch lat. Do przyjęcia na nie wymagane są wiadomości z fizyki i biologii, poparte odpowiednimi świadectwami. Kursy obejmują naukę anatomii, patologii, psychologii, elektroterapii, hydroterapii, masażu, gimnastyki i to zarówno teorię jak i praktykę. Poza tym młode adeptki tej sztuki uczą się jeszcze muzyki, sztuki dramatycznej, ogrodnictwa i innych przedmiotów.

Opieka nad chorymi wymaga wiele wysiłku fizycznego, nie mówiąc oczywiście o nerwowym, toteż kandydatki, gdyż one to głównie, a nie mężczyźni, poświęcają się nowemu zawodowi, muszą być bardzo wytrzymałe fizycznie i nerwowo. Po skończeniu kursu absolwentki otrzymują engagement, w którymś z nowych zakładów i na początek pensję około 1500 dolarów rocznie. Pensja ta wzrasta później nawet do 5.000 dolarów rocznie, plus dodatki.

Terapia zajęciowa nie jest jeszcze zawodem szeroko znanym i rozpowszechnionym. Niemniej jednak znaczenie jej jest coraz bardziej doceniane. Znajdzie ona niewątpliwie coraz szersze zastosowanie nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i poza ich granicami, przynosząc ulgę cierpiącym.

(„Le Populaire")

tyzmów z różnych utworów śląskich (Negius, Gdacjusz, Roździeński, anonimowy poemat „Polak w Śląsko"). Z tych też względów dałem prace magisterskie asystentom Uniwersytetu Wrocławskiego: J. Loretównie „Officina Ferraria" W. Roździeńskiego, opracowanie językowe), Z. Gołąbowi „Księga Henrykowska" (opracowanie językowe).

Pierwsza praca powinna być cennym przyczynkiem do historycznej dialektologii śląskiej — zwłaszcza w dziale leksykalnym (obok tego bogata terminologia górnicza i hutnicza). Autorka po przygotowawczych studiach zebrała materiał językowy i przystępuje obecnie do jego klasyfikowania. Jeżeli się nie znajdzie pierwodruk, to dialektyzmy fonetyczne trudniej będzie wyłowić.

Druga praca jest ważnym zbiorem imion i nazw miejscowych z określonego terytorium. Mamy opracowanie bulli z 1155 r. i 1245 r. (prof. T. Milewski), ale zetymologizowaniem materiału językowego tej księgi, jego poklasyfikowaniem i wyciągnięciem odpowiedniej syntezy nie tylko językowej, ale i pozajęzykowej nikt się nie zajął. Autor zebrał materiał i przystępuje obecnie do analizy.

Tak by się przedstawiały badania historyczno-językowe. Rozumie się, że w planie na rok 1947 jest nie tylko wykończenie rozpoczętych prac, ale i podjęcie nowych, np. analiza językowa wyżej wspomnianego nekrologu z XIII w. premonstratensów, naświetlenie problemu „wasserpolnisch" (skąd się wziął ten termin?), oraz przygotowanie do druku II t. „ŹRÓDEŁ JĘZYKOWYCH ŚLĄSKA".

Druga dziedzina poszukiwań to badania dialektologiczne, przy których korzystamy z cennych wskazówek prof. K. Nitscha. Wybitny ten nasz dialektolog planował przed wojną na szeroką skalę zakrojone badania nad zebraniem i opracowaniem bogatych tekstów gwarowych, nad „Atlasem językowym Śląska", nad „Słownikiem gwarowym śląskim" (nieodżałowanej pamięci śp. prof. M. Małecki gromadził po wojnie przy pomocy swoich studentów materiały do tego słownika). Wojna przerwała wykonanie tego planu. Zresztą jeżeli chodzi o Dolny Śląsk, to na pewno Niemcy nie pozwoliłyby polskim uczonym na przeprowadzenie badań w powiecie brzeskim, sycowskim, namysłowskim, wschowskim, niemodlińskim. Profesor Nitsch wiadomości o powiecie brzeskim i niemodlińskim czerpał nie z autopsji, ale z drugiej ręki.

Toteż uważałem za stosowne skierować badania dialektologiczne dra S. Bąka, adiunkta Uniwersytetu Wrocławskiego na Dolny Śląsk (pow. brzeski, namysłowski, sycowski). Zwrócenie uwagi najpierw na autochtonów było konieczne, gdyż tym niedobitkom śląskim groziło lada dzień wyrzucenie ew. dobrowolne przez nich opuszczenie Śląska. 9 wycieczek dialektologicznych odbył dr. Bąk (pow. namysłowski, sycowski i brzeski). Zebrał materiał gwarowy z następujących punktów: pow. namysłowski: Greboszów, Dąbrowa, Siemiszów Mały; pow. sycowski: Dębiny, Gronowice, Dziadowa Kłoda, Wioska, Gola, Zawada, Stradomia Dolna, Słupia, Trębaczów, Książęca Nowa Wieś; pow. brzeski: Stare Kolnie, Stobrawa, Katowice (administr. Karłowice), Borek (administr. Karolina), Kurznie (admin. Kuchary), Raszkowice, Tarnowiec, Mąkoszyce, Lubsza. Badania na terenie pow. oławskiego dały pozytywny wynik we wsi Kamień. Był i w innych punktach (np. pow. brzeski: Rybno, Nowe Kolnie, Kościerzyce (nie Wielka Nowa Wieś!) Śmiechowice, Piastów, Pisarzowice, Cieplowice, Michałowice, Łąki, Szydłowice, Wielki i Mały Dobrzeń itp.), ale one nie dały pozytywnego rezultatu. W pow. namysłowskim nie znalazł już autochtonów w Bogusławicach, Dalborowicach, Stradomi Średniej, Górnej i Nowej, Giernocicach. Tak samo nie dały pozytywnego rezultatu punkty pow. oleśnickiego: Galowice, Miłowice, Redzewice, Poniatowice. Równocześnie rozpoczął zbieranie materiału do przyszłego atlasu językowego Śląska tak, aby on był dalszym ciągiem pracy M. Małeckiego i K. Nitscha. Na terenie pow. brzeskiego obrane zostały dwa punkty: Stare Kolnie i Tarnowiec, Dotąd zebrano w Starym Kolniu odpowiedzi na 472 pytań według kwestionariusza M. Małeckiego i K. Nitscha.

Pogranicze śląsko-wielkopolskie, tj. najpierw okolice Wschowy są przedmiotem badań prof. L. Ossowskiego, który po zbadaniu tych terenów (głównie Lgiń = niem. Ilgen) oświadcza się za przynależnością językową do Wielkopolski a nie do Śląska tych terenów, dotychczas w ogóle niezbadanych. Jest to dialekt wielkopolski, mający jednak gwarowe ślady śląskie.

W 1947 r. zamierzamy kontynuować rozpoczęte badania dialektologiczne, t. zn. zebrać jeszcze bogatszy materiał gwarowy i leksykalny z wymienionych powiatów oraz rozpocząć poszukiwania na terenie powiatu niemodlińskiego.

Na końcu należy zaznaczyć, że przywiązujemy dużą wagę do współpracy językoznawcy z historykiem, etnografem i socjologiem. Dlatego niektóre wycieczki dialektologiczne odbyły się wspólnie z mgr. S. Golachowskim. Zacieśnienie tej współpracy uważamy za konieczne.

Dookoła kobiety

U nas i gdzie indziej...

Losy byłych więźniarek polskich w Ravensbrueck, t. zw. „królików" nie przestają zajmować opinii publicznej. Po opisanej przez całą niemal prasę krajową historii wyjazdu czterech „królików" na zeznania do Norymbergi, (o czym również pisaliśmy w „Dzienniku Zachodnim") „Życie Warszawy", w jednym ze swych styczniowych numerów, drukuje list jednej z tych kobiet.

„W r. 1941 — pisze więźniarka — jako 16-letnia dziewczyna zostałam aresztowana przez gestapo. Nie potrzebuję opisywać tego, co wtedy przeżyłam. Znęcano się nade mną, bito, kopano. Wywieziono mnie następnie do obozu w Ravensbrueck, gdzie przebywałam cztery lata. W trzecim roku mego pobytu w „lagrze" przeprowadzono na mnie operację brzuszną, a jednocześnie dawano mi zastrzyki bardzo bolesne, wywołujące silną temperaturę i ropienia. Po zagojeniu ran zostałam wywieziona z obozu do fabryki amunicji do Drezna, skąd podczas bombardowania uciekłam. Po kapitulacji Niemiec wróciłam do Polski w maju 1945 r.

Od chwili owej operacji stan mego zdrowia pogarsza się z miesiąca na miesiąc. Co dwa, trzy tygodnie dostaję ataku, przy którym tracę przytomność, a gdy atak mija, następują szalone bóle, po których znów powtarza się atak. Żaden lekarz nie jest w stanie mi pomóc. Mam przecież dopiero 22 lata, i chyba całe życie nie mogę tak strasznie cierpieć. Od powrotu do Polski, tj. przez dwa lata, leżę jak Łazarz w łóżku i brak mi sił do cierpienia, a funduszów do leczenia się.

Część tzw. „królików", które przebywały do końca w obozie w Ravensbrueck, zabrane zostały do Szwecji, gdzie przywrócono im zdrowie. Niestety, nie mogłam z tego skorzystać, gdyż wywieziono mnie z obozu. Gdzie i do kogo zwrócić się mam o pomoc? — Czy jest w mocy naszych lekarzy przywrócenie mnie życiu-"

Spodziewać się należy, że list ten nie przeszedł bez echa i nieszczęśliwa dziewczyna, tak jak przedtem jej towarzyszki niedoli, zabrana została na klinikę i oddana pod opiekę najlepszych naszych specjalistów, którzy — być może — znajdą jakąś radę, by choć ulżyć jej cierpieniom.

WYSTAWA MALARKI Z RAVENSBRUECK

Z przeżyciami więźniarek z niemieckich obozów zapoznało nas już szereg wydanych książek, że wspomnimy tu tylko „Dymy nad Birkenau" — Szmaglewskiej, „Przeżyłam Oświęcim" — Żywulskiej, „Kobiety z Ravensbrueck" — Dobaczewskiej. **Ravensbruck w ilustracji** obejrzeć można było ostatnio w Warszawie, w pałacu Zamojskich, **na wystawie prac więźniarki, J. Simon-Pietkiewiczowej.** Wystawiła ona tu 156 **szkiców ołówkowych, akwareli i gwaszów, potajemnie wykonanych** w czasie długiego, bo trzy lata i osiem miesięcy trwającego pobytu w Ravensbrueck. Kilka większych obrazów, również o tematyce obozowej, pochodzi z okresu pobytu w Szwecji.

Atrakcyjnością tych prac, niezależnie od ich wartości artystycznych jest to, że **były one robione w obozie** i przechowywane w deskach pryczy. Według słów malarki — ktoś ze służby więziennej przyniósł raz pudełko farb akwarelowych, zapewne skonfiskowanych jakiejś więźniarce. **Malować można było po pracy, o świcie lub w nocy, by władze więzienne nie dowiedziały się o tym „przestępstwie". W ten sposób powstała galeria typów kobiecych, podchwyconych we wszystkich przejawach obozowego życia,** kobiet chorych, zaniedbanych, przy robocie, w izbie chorych, odwszalni, kąpieli.

Dobrze byłoby, by prace te, jako dokumentarne, pokazane zostały szerszemu ogółowi, choćby w formie ilustracji książek o Revensbrueck, jakie jeszcze niewątpliwie zostaną wydane.

DZIAŁACZKI, KTÓRE ODESZŁY

W pierwszych dniach stycznia **zmarła Feliksa Mikołajczykowa, „Helena", wybitna działaczka PPS,** pracująca w partii od 1905 r.

Córka powstańca z 1863 r. całe życie swe poświęciła walce o prawa dla człowieka pracy. Znali ją wszyscy działacze Warszawy, Radomia, Piotrkowa czy Lublina. **Niezmordowana „dromaderka", przewoziła broń, bibułę, kolportowała nielegalnego, „Robotnika".**

Aresztowana i zesłana na Sybir, ucieka po jakimś czasie do kraju. Poszukiwana listami gończymi ukrywa się przed tropiącymi ją żandarmami, nie ustając jednak w pracy partyjnej. **Wytropiona ponownie, osądzona zostaje na trzynaście lat katorgi.** Znów tuła się po dalekich krajach. Dopiero dzięki rewolucji rosyjskiej udaje jej się wrócić do kraju w 1917 r. Zgłasza się natychmiast do PPS-u i rozpoczyna pracę, znów przeplataną aresztowaniami.

Gdy nadszedł rok 1939 „Helena" znów wróciła do podziemia. Mimo, że zdrowie odmawia jej posłuszeństwa, silna wolna zwycięża słabość ciała. **Pracowała niezmordowanie przez całą okupację.** Danym jej było dożyć Polski demokratycznej, dla której dała ofiarny trud całego swego życia, ale pracować w niej mogła już bardzo krótko.

ZGON ROZALII ZIEMLACZKI

Cała prasa radziecka zamieściła obszerne wspomnienia, poświęcone **zmarłej ostatnio 71-letniej Rozalii Ziemlaczce, członkini Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej.**

Już jako młoda dziewczyna bierze czynny udział w ruchu rewolucyjnym. **Zostaje aresztowana za przynależność do komitetu socjal-demokratycznej partii Rosji i osadzona w więzieniu w Kijowie,** gdzie przebywa ponad trzy lata. Po wyjściu z więzienia bierze czynny udział w wydarzeniach 1905 r. jako sekretarz petersburskiej organizacji tej partii, a następnie jako sekretarz komitetu moskiewskiego. **W okresie międzyrewolucyjnym pełni funkcję pierwszego sekretarza legalnego komitetu partii bolszewików w Moskwie.** Podczas rewolucji październikowej służy w Armii Czerwonej, jako szef sekcji politycznej.

Obejmuje stopniowo kierownicze stanowiska w partii. **Mianowana zostaje członkiem kolegium komisariatu ludowego dla spraw komunikacji, a następnie przewodniczącym radzieckiej komisji kontrolnej przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR.**

Podczas ostatniej wojny Ziemlaczka była **wiceprzewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych ZSRR.** Ostatni okres przed zgonem pracowała jako **wiceprzewodniczący komisji kontroli partii przy Komitecie Centralnym partii.**

LIGA NIEZAMĘŻNYCH MATEK

W Anglii rozpoczęto ostatnio kampanię celem **legalizacji obyczajowej nieślubnego dziecka i jego matki.** Kampanię prowadzi dr. Edward Alexander Wilson, który postanowił zorganizować **ligę „niezamężnych matek"** Dr. Wilson znalazł już dwanaście kandydatek, które zgodziły się na wzięcie udziału w tym dosyć oryginalnym eksperymencie.

Dr. Wilson zastrzega się, iż **liga nie będzie popierała nieodpowiedzialnych wybryków lub rozwiązłości seksualnej.** Instytucja niezamężnego macierzyństwa opierać się będzie na **solidarnych podstawach umowy, zawartej wobec adwokata.**

Wobec znacznej przewagi kobiet, jaka zwłaszcza po ostatniej wojnie, zapanowała w Anglii, sprawa ta wywołuje coraz większe poruszenie, w pierwszym rzędzie — rzecz oczywista — w społeczności kobiecej. Oceny tego eksperymentu są krańcowo różne. **Prawne obowiązki wobec dwóch, czy więcej kobiet, jakie mógłby mieć mężczyzna, dla jednej warstwy Angielek jest „postępem", dla drugiej zwykłą bigamią.**

Jak tezy ligi będą rozwiązane w praktyce życiowej pokaże czas. (h. m.)

Nowe metody leczenia



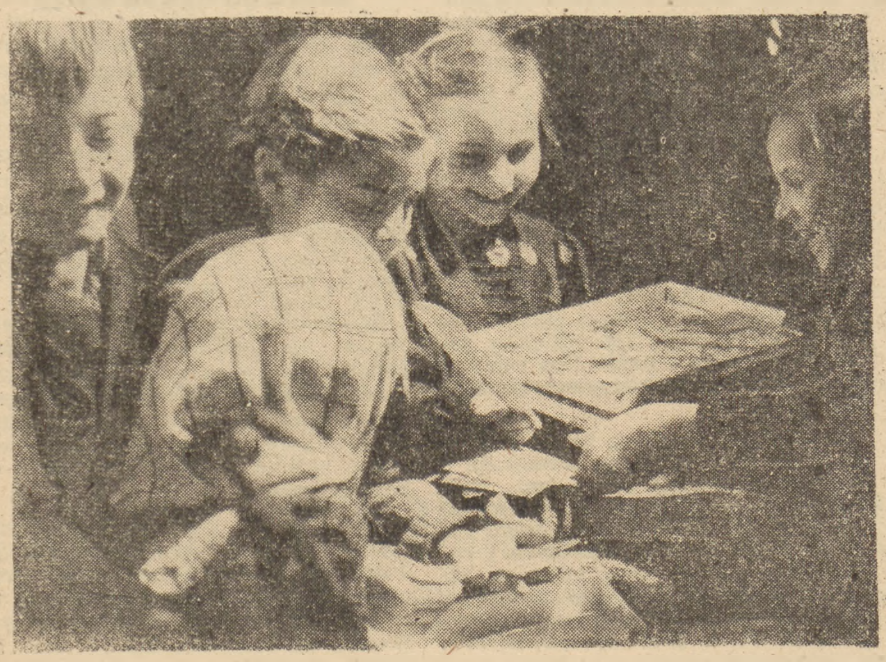
Sparaliżowana dziewczynka przy pomocy odpowiedniego urządzenia uzyskuje z powrotem zdolność ruchów. **(Patrz artykuł na stronie 5-tej).**

Duńczycy polskim dzieciom

Misja duńska „Ratujcie dzieci", prowadzi w poszczególnych częściach Polski, najbardziej zniszczonych i zubożałych wskutek działań wojennych, żywą i skuteczną akcję pomocy dla najmłodszego pokolenia. Systematyczne dożywianie pożywnymi zupami, przygotowywanymi w specjalnych kuchniach i rozwożonymi po okolicznych szkołach, tran, pomoc sanitarna, lekarska i dentystyczna, rozdawnictwo odzieży itd. w znakomitym stopniu podniosło stan zdrowotny dzieci i wykazało skuteczność akcji.

Duńczycy zorganizowali pomoc dla młodzieży szkolnej Zagłębia, gdzie 80% dzieci jest niedożywionych i grozi im anemia i gruźlica. Ostatnio młodzież Sosnowca otrzymała za pośrednictwem Misji piękny dar od dzieci duńskich — dwa wagony zabawek i odzieży.





Trzy reprodukowane przez nas zdjęcia przedstawiają fragmenty pięknej akcji: rozdawnictwo zupy w jednej ze szkół, radosną chwilę otwierania paczek z nadesła[nymi] zabawkami i przymierzanie p[rzez] członkinie Misji bucików jednej z obdarowanych odzieżą dziewczynki.



Człowiek silniejszy od króla Augusta Mocnego

Nazywał się Andrzej Favrat, całe zaś nazwisko tego siłacza brzmiało: François André de Favrat Jacquier de Bernay.

Favrat był znanym w wielu krajach Europy XVIII w. awanturnikiem, choć, trzeba to przyznać, stał o wiele wyżej moralnie od Casanovy, od którego też różnił go talent żołnierski, który w rezultacie pozwolił mu na zdobycie stopnia generała.

Favrat odznaczał się wielką siłą, większą od Augusta Mocnego: łamał lub skręcał w spiralę najgrubsze nawet podkowy; z talerzy cynowych robił rulony; będąc w Warszawie wytoczył działo ze zbrojowni i na powrót je tam wtoczył bez niczyjej pomocy; w Rzymie znów dwóch chcących go aresztować policjantów uderzył o siebie głowami tak silnie, że padli zemdleni na ziemię; w tym też Rzymie złodziejowi, który nieopatrznie włożył mu rękę do kieszeni, złamał wskazujący palec.

Kiedy jechał na Śląsku błotnistą drogą i sześć zaprzężonych do karety koni nie mogło jej wyciągnąć z błota, Favrat wysiadłszy z karety pchnął ją tak silnie, że konie bez trudu ciągnęły ją dalej. W czasie pojedynku w Hiszpanii oficerowi huzarów przeciął głowę aż do ramienia, a uciekającego konia chwycił w biegu za szyję tak mocno, że złamał mu kość.

Jeszcze jako 72-letni starzec odznaczał się Favrat wielką siłą: leżał wtedy chory, a mimo to jedną ręką podniósł krzesło, na którym siedział jego lekarz!

Nic dziwnego, że rodzice Favrata od młodości mieli kłopot z jego wychowaniem. Andrzej Favrat urodził się 4 września 1725 r. w mieście Chambéry we Francji z bogatych rodziców, którzy nie wiedząc sami, co zrobić z synem o tak olbrzymiej sile, oddali go na wychowanie ciotce, światowej damie, która z kolei powierzyła go opiece zakonnika. Ten miał wiele kłopotu ze swym pupilkiem, bo Favrat w czasie swego pobytu w Genewie, Turynie i Neapolu chętniej zajmował się hulankami, aniżeli książkami i wreszcie wróciwszy do domu oświadczył swym rodzicom, że zamierza się poświęcić zawodowi wojskowemu.

Tak też i uczynił oddając się najpierw pod komendę księcia Maurycego saksońskiego, naturalnego syna Augusta Mocnego, chrzest zaś bojowy i pierwszą ranę otrzymał w Holandii. Wyleczywszy się podziękował księciu za służbę i wyjechał do Hiszpanii, skąd musiał uciekać po niefortunnym dla oficera huzarów pojedynku. Z Hiszpanii Favrat udaje się do Wiednia, gdzie służy w wojsku Marii Teresy. Nie podobała mu się jednak służba pod wodzą kobiety, więc przebywał w obozie wojskowym pod Bolkowem na Śląsku. Król potrzebował takich siłaczy i awanturników jak Favrat, więc mianował go z miejsca kapitanem. Jako kapitan Favrat walczy z wojskami cesarzowej Marii Teresy pod Lubawką, gdzie odznacza się niemal na oczach króla 10 czerwca 1759 r.

W kilka miesięcy później (19 listopada) Favrat dostaje się do niewoli austriackiej. Udaje mu się jednak wydostać z Pragi i tym razem wraca do swego ostatniego dowódcy, króla pruskiego, który przydziela go do garnizonu w Kłodzku. Przebywając tutaj Favrat w koszarowej bezczynności zajmuje się badaniem prochu artyleryjskiego celem ulepszenia go. Kiedy skończyły się wojny śląskie, Favrat nie umie siedzieć bezczynnie i znów chce wojować, tym razem po stronie Rosji przeciw Turcji, na co jednak nie otrzymuje zezwolenia Fryderyka.

Ponieważ w Kłodzku jest mu za ciasno, udaje się w podróż do... Turcji, a przy okazji zwiedza Egipt, Syrię, potem przebywa we Włoszech, skąd wyrusza do Prus i prosi króla o powtórne przyjęcie go do armii. Król przyjmuje go i Favrat ma w krótkim czasie okazję walczyć.

Wybucha bowiem w 1778 r. tak zwana „wojna kartoflana" z Austrią o prawa sukcesyjne do Bawarii. Wojna ta nazwana została kartoflaną dlatego, że obie strony poniosły w niej bardzo małe straty w ludziach, natomiast żołnierze zjedli bardzo wiele ziemniaków i jarzyn u trzymających ich na kwaterach wieśniaków.

W czasie tej wojny Favrat walczy pod Kamienną Górą, po czym otrzymuje od króla rozkaz, już jako pułkownik, obwarowania Jeleniej Góry. Wzgórze w tym mieście, które dziś nazywa się wzgórzem Kościuszki, nazywało się wtedy wzgórzem szubienicznym, stała bowiem na nim przez dłuższy czas szubienica. Na tym właśnie wzgórzu miał pułk Favrata budować fortyfikacje. Ale jego żołnierze oświadczyli, że ich honor nie pozwala im na wykopanie szubienicy, jest to bowiem praca właściwa dla robotników miejskich, ale nie dla nich. Wtedy Favvrat bez większego trudu powyciągał z ziemi słupy szubienicy. Teraz żołnierze słupów tych nie uważali za szubienicę i porżnęli je na umocnienia do okopów.

Gdy i ta wojna skojczyła się, Favrat udaje się z rozkazu króla do Prus Wschodnich, teraz już w stopniu generała, przebywa też jakiś czas w Warszawie. Wręszcie król pruski mianuje go komendantem garnizonu i miasta Kłodzka. Tutaj Favrat przebywa do śmierci. Mieszka wraz z żoną, ożenił się po raz drugi: jego pierwsza żona umarła w 1769 r., co mu nie przeszkadza z[…]ękna obywatelką Kłodzka mieć dwoje dzieci. Społeczeństwo kłodzkie patrzy jednak na te sprawy dość tolerancyjnie i utrzymuje stosunki towarzyskie z obiema kobietami: żonę Favrata nazywają „panią generałową", jego zaś kochankę „panią Favrat!"
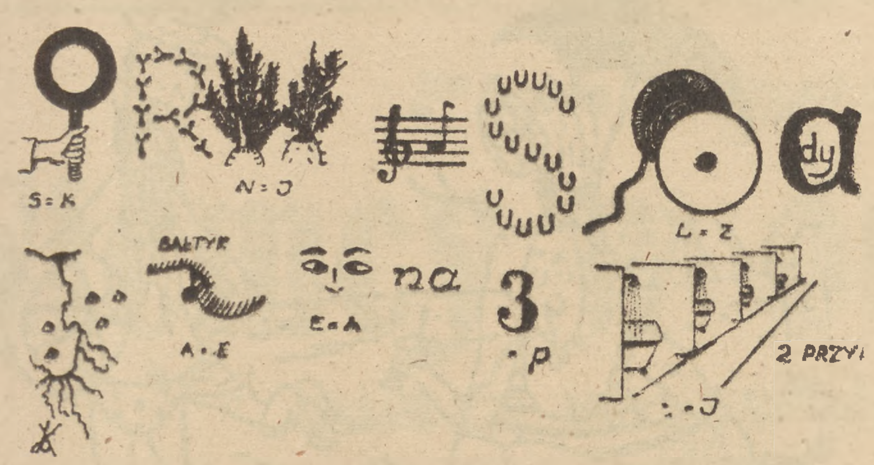
Awanturniczy nasz bohater umiera 5 września 1804 r. i zostaje pochowany, z honorami marszałka polnego, w Kłodzku.

Podobiznę Favrata, który w czasie swego 79-letniego żywota brał udział w 10 bitwach, 12 oblężeniach i stoczył 74 pojedynki, możemy oglądać na medalionie, znajdującym się w muzeum regionalnym w Jeleniej Górze.

Józef Sykulski

Rozrywki umysłowe

1. REBUS
(uł. W. K.)



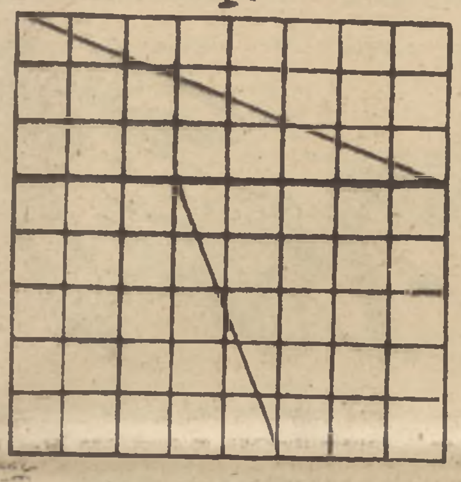
2. ZADANIE SZYFROWE
(uł. Z. Hryniewiecki)

Z poniższych liter należy odczytać rozwiązanie w ten sposób, że biorąc jakąkolwiek z liter jako punkt wyjścia, przeskakujemy pewną ilość liter w kierunku lewym na prawo, znajdujemy drugą literę rozwiązania, potem przeskakujemy tę samą ilość liter, znajdując trzecią literę itd. aż do odczytania całego zdania. Należy zwrócić uwagę na to, że litery te ułożone są łańcuchowo, ta znaczy, że po ostatniej w tym szeregu znajduje się pierwsza itd. Oczywiście obierając sobie dowolną literę, jako punkt wyjścia, mało prawdopodobnym jest trafienie na pierwszą literę rozwiązania.

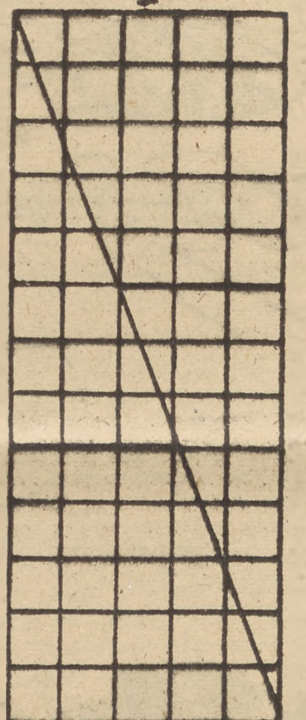
E Y Z P S I I T T J L B K I Ł Z D E Y Y C U U U E

3. MAGICZNA SZACHOWNICA
(uł. Pejot)

I.



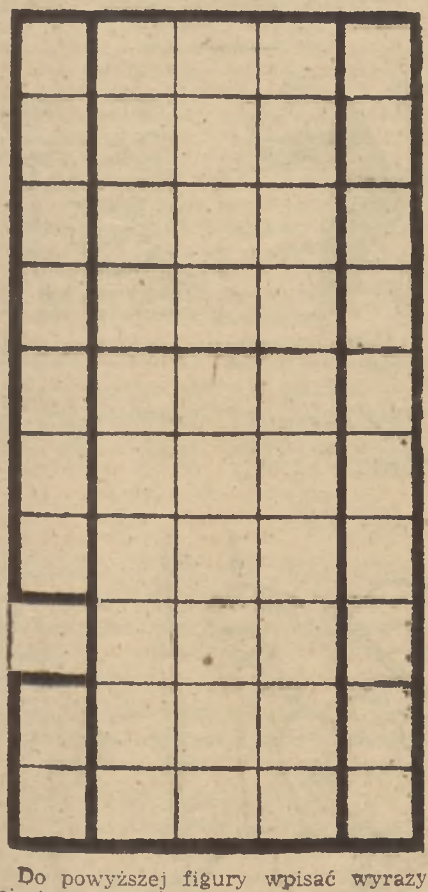
II.



Zrezygnowany szachista, ażeby odbić sobie przegraną kolejkę, oświadcza swemu partnerowi, iż udowodni jemu, że szachownica, na której dopiero co rozgrywali partię, ma 65 pól. Po zrobieniu zakładu pierwszy z nich kraje szachownicę na 4 części według rysunku numer 1 i układa otrzymane wycinki w figurę według rysunku Nr. 2.

W jaki sposób przeciwnik obronił się przed przegraniem zakładu?

4. LOGOGRYF
(uł. Dejot)



Do powyższej figury wpisać wyrazy pięcioliterowe. Litery obwiedzione grubszą linią dadzą rozwiązanie. Znaczenie wyrazów: 1. zmysł (wspak), 2. wyspa na Morzu Bałtyckim, 3. pierwiastek chemiczny. 4. drzewo iglaste, 5. odznaczenie, 6. posag, 7. współdźwięk, 8. instrument muzyczny (strunny), 9. składnik powietrza (wspak), 10. przedwojenny lokal rozrywkowy w Warszawie.

5. ŁAMIGŁÓWKA RACHUNKOWA
(uł. Pejot)

Marysia i Małgosia poszły na targ sprzedawać gęsi. Pierwsza z nich sprzedała 30 sztuk, oddając 3 gęsi za 5 zł, druga sprzedała również 30 sztuk, ale oddając dwie gęsi za 5 zł. Pierwsza uzyskała 50 zł ze sprzedaży, a druga 75 zł, czyli razem 125 zł. Ponieważ na skutek różnicy w utargu powstała między siostrami kłótnia, chytry braciszek Jędruś podjął się roli mediatora i obliczył ich utarg, jak następuje:
Marysia sprzedała 30 gęsi w stosunku 3 sztuki za 5 zł. Małgosia sprzedała 30 gęsi w stosunku 2 sztuki za 5 zł, czyli razem sprzedały 60 gęsi w stosunku 5 sztuk za 10 zł. t. j. za 120 zł. Chytry rachmistrz oddał siostrom po zł 60, zaś dla siebie zatrzymał zł 5 za dobre liczenie. Jaki błąd popełnił Jędruś przy obliczeniu?

*

Za rozwiązanie powyższych zadań, nadesłane w terminie do dnia **28 lutego,** Redakcja przeznacza do rozlosowania 3 nagrody książkowe.

*

Przypominamy o konkursie samogłoskowym, który został ogłoszony w Nr. 6 „Świat i Życie" i przewiduje 5 nagród książkowych.

Rozwiązanie zadań z nr 5
„ŚWIAT I ŻYCIE"

1. Rebus: Siła naszego kraju zależy od zbiorowego wysiłku.

2. Kto szybszy? W czasie spotkanie oba samochody będą w równej odległości od Krakowa.

3. Podział jabłek: Jedynie możliwym podziałem jest 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, z czego wynika, że Fred dostał 1 jabłko.

4. Akrostych literacki: Stefan Żeromski „Róża": Gdybyż to człowiek mógł ująć stylisko ciężkiego kilofa, ażeby co dnia odwalać gruzy, pod którymi świętość leży.

5. Pięć krążków: Trzeci więzień powiedział: widzę krążki moich współtowarzyszy i wiem, że oba są białe. Więzień Pierwszy widzi więc napewno jeden biały krążek na plecach Drugiego i mój. Gdyby mój krążek był czarny, to Pierwszy rozumie po chwili namysłu, że musi mieć biały, gdyż — gdyby miał czarny, to drugi natychmiast by krzyknął, że ma biały. Ponieważ pierwszy tego nie powiedział, widzi więc przed sobą dwa białe krążki, zatem ja mam biały krążek na plecach.

Dobre rozwiązania z Nr. 4 nadesłali w terminie:

Będzin: L. Balcerowski, **Bielsko:** A. Pręczkowska, **Brzeg:** Szprynger J., **Bytom:** T. Mickiewicz, **Chorzów:** H. Stanienda, **Częstochowa:** M. Witkowska, Z. Przesłański, **Gliwice:** A. Pojda, W. Hübner, **Gorlice:** C. Wysocki, **Jarosław:** B. Nowosad, **Jelenia Góra:** T. Wilczyński, **Katowice:** A. Rafińska, J. Tchórzewska, W. Hajdukowa, W. Raciborska, Z. Czaplicki, H. Nowakowska, M. Kopeć, Ł. Morawska, L. Różycki, J. Olszok, **Krosno:** T. Mikucka, **Kraków:** T. Langosz, A. Mięsowiczówna, M. Zuska, J. Nawroczyński, **Luboń:** T. Pawlęty, **Miłosna:** E. Żerebecki, **Olkusz:** T. Kański, **Opole:** E. Hlebowicz, W. Kielar, J. Rzeszotarski, **Paczków:** S. Cichowski, **Piotrowice:** B. Presslerowa, **Poznań:** A. Michalak, L. Konopiński, B. Marciniak, A. Karszewski, **Rzeszów:** A. Mazur, **Sandomierz:** S. Sowa, **Skałka:** L. Burczyk, **Sosnowiec:** J. Dobrek, **Szopienice:** J. Kalinowska, H. Kosma, **Świdnica:** E. Parnicka, **Świętochłowice:** S. Zarembiński, K. Klauziński, **Tarnowskie Góry:** J. Garus, **Trawniki:** M. Razik, **Wadowice:** J. Jankowska, **Wałbrzych:** J. **Mészàros,** E. Matwiejczuk; **Wrocław:** J. Smogorzewski, A. Pawlikowski, M. Orska, E. Kuklińska, **Zabrze:** H. Socha, **Zawiercie:** Rożyńska G., **Żywiec:** B. Czajkowska, J. Jarczewska, A. Grzyb.

Kazimierz Dolny: J. Witwicka, A. Hacia, **Radomsko:** K. Malewicz, **Wrocław:** T. Gabryszewski, **Mysłowice:** K. Sołtykowski.

W wyniku losowania nagrody otrzymali:

1. J. Mészàros, Wałbrzych — W. Rymkiewicz „Rafał z lasu".

2. J. Garus, Tarnowskie Góry — J. Zawieyski „Noc Huberta".

3. J. Jarczewska, Żywiec — J. Pytlakowski „Wielki cień".

Nagrody wysyłamy pocztą.

Odpowiedź Redakcji

Stanisław Tarczyński: wierszowanie słabe, prosimy przerobić. **J. Szprynger:** zamieścimy. **Z. Makowski:** podobne wyjaśnienie było zrobione, chociaż nie tak dokładne. Chętnie zamieścilibyśmy uwagi pana na równie interesujący temat. **Ppor. Michorowski:** rebus słaby, układanka pójdzie. **„Biały":** idealna krzyżówka jest bez czarnych pól, a jeżeli one jednak są, to każde słowo musi się przecinać z możliwie największą ilością słów. U Pana oba te warunki nie są spełnione. Poza tym odgadnięcie nazw Koronowo, Działdowo i Henrykowo dla przeciętnego czytelnika jest niemożliwe. Prosimy popracować i mamy nadzieję, że następne prace będą lepsze. **Wazd:** Za jakieś niezwykłe, nowe rzeczy.

Czytelnicy piszą...

8. I. W sprawie Protagorasa i jego ucznia istnieją 2 podstawy do rozstrzygnięcie sprawy: prawo państwowe i umowa między mistrzem i uczniem.

Zarówno Protagoras jak i jego uczeń popełniają w swym rozumowaniu ten sam błąd. Biorą z obu podstaw do wyroku wyniki dodatnie, odrzucają ujemne.

Protagoras twierdzi: wygram sprawę otrzymam pieniądze na podstawie wyroku sądowego czyli prawa państwowego, przegram sprawę, otrzymam pieniądze na podstawie umowy z uczniem.

Uczeń twierdzi: Wygram sprawę nie płacę na podstawie wyroku (t. j. prawa państwowego), przegram sprawę nie płacę na podstawie umowy z mistrzem.

Logicznie biorąc każdy z nich przyjmując wygraną na jakiejś podstawie (prawo państwowe lub umowa), powinien na tejże samej podstawie przyjąć i przegraną.

II. Umowa w prawie rzymskim nie może być sprzeczna z prawem obowiązującym i z dobrymi obyczajami. Musimy przyjąć, że za naukę należy się Protagorasowi zapłata. Tymczasem w omawianym wypadku umowa pozbawia mistrza należnej mu słusznej zapłaty, a więc jest niezgoda z dobrymi obyczajami.

Tym samym należy przyjąć, że rozstrzygającym powinien być wyrok anulujący w konkretnie omawianym wypadku między Protagorasem i uczniem zawartą umowę i przyznający zapłatę na podstawie ogólnie obowiązującego prawa.

III. Można również podejść do zagadnienia z innej strony. Umowa określa jedynie termin zapłaty za naukę, a bynajmniej nie warunkuje jej od jakich innych czynników. Zapłata musi być uiszczoną. Tymczasem uczeń interpretuje umowę w kierunku pozbawienia mistrza zapłaty na podstawie umowy, do czego go taż umowa wcale nie upoważnia. Sąd więc powinien w swym wyroku pójść w kierunku określenia terminu zapłaty, nie interesując się sprawą należności za naukę, i termin ten określić na podstawie interpretowanej w punkcie II.

„TeKa"

9. Uważam zadanie „Pięć krążków" za najbardziej pomysłowe ze wszystkich zadań, które dotychczas ukazały się w dziale rozrywek umysłowych, dodatku niedzielnego „Świat i życie". Zadanie to zaliczam do szeregu zadań psychologicznych, wysokiej wartości. Byłbym wielce wdzięczny Redakcji za ogłoszenie niniejszej mojej uwagi drukiem, w dowód wielkiego mego uznania dla autorów: pp. Zięby, Murzynowskiego, Adamieckiego i „Emki".

W sprawie zadania pozakonkursowego zabieram głos: Według mego zdania, pan Meszaros Józef całkiem nie ma racji twierdząc, iż „uczeń pobił mistrza". sąd powinien uznać w tym wypadku umowę stron jako nieważną i uznać ucznia winnym uiszczenia należnej kwoty na korzyść Protagorasa, sąd nie może głowić się nad rozwiązaniem istnej „łamigłówki" jaką jest nieopatrzna umowa stron, jak słusznie twierdzi p. Ł. Morawska.

Eugeniusz Matwiejczuk
(Wałbrzych)

Na zakończenie dyskusji nad problemem procesu między Protagorasem a jego uczniem.

Paradoks ten oryginalny twór Szkoły Sofistów miał na celu wykazanie względności prawdy.

Pozorna ta względność powstaje przez potraktowanie jako współczasowych dwóch niewspółmiernych przesłanek. W momencie wydawania wyroku uczeń nie wygrał jeszcze swego pierwszego. wyrok więc musi wypaść po jego myśli. Inna rzecz, że gdyby po tym pierwszym procesie Protagoras wytoczyłby drugi w tym samym przedmiocie musiałby on go wygrać. Uczeń nie przechytrzyłby mistrza, jak chcą niektórzy z czytelników. Byłby to ciekawy nadzwyczaj wypadek w dziedzinie sądownictwa, że dwa wyroki wydane w tej samej sprawie, a wręcz preciwnie byłyby każdy dla siebie słusznym. Nie ma w tym sprzeczności, jak chcieliby sofiści, gdyż wyroki te nie są równocześnie słuszne. Oba wyroki są zgodne z umową, pierwszy przesądza sprawę uczniowi bo warunek płatności nie jest jeszcze wykonany, drugi daje wygraną nauczycielowi, bo przez pierwszy wyrok wypełniono warunek umowy. Dwuplanowość czasu ciąży tu nad całym zagadnieniem. Podziwiać należy umysł grecki za tak finezyjny pomysł.

Mgr. Ziemba Jan

Przeczytajcie DZIECIOM...

ZOFIA BRONIKOWSKA

Nasze zabawki

Na wystawach, w sklepach jest
dużo —
ślicznych, prawdziwych
zabawek!
Ale my ich nie możemy kupić...
Więc tak sobie wymyślamy
same:
...Ta strzępiona włóczka i ten szalik,
to wszystko:
jest olbrzymie, zielone
pastwistko!
Zaraz krowy nadejdą
powoli —
z białej, pstrej i brązowej
fasoli...
A nad naparstkiem-wodopojem.
z zeszłorocznych kasztanów
zmarszczone
stoją konie...
Lalka z gładkiego papieru,
jedzie wozem z różowej
bibułki...
Nad głowami latają z gazety
wycięte zgrabnie
jaskółki...

JÓZEF BARANOWSKI

Bałwanek

Lepią dzieci bałwana,
Jeszcze nos, jeszcze uszy,
Jeszcze biały kaftanik,
A śnieg prószy i prószy...

Jeszcze długi nos z marchwi,
Jeszcze czarne guziki,
Dwoje ócz czarnych z węgla.
Grzmią dziecięce okrzyki!

Już się śmieje bałwanek.
Trzyma rózgę w swej dłoni,
Uważajcie, a teraz —
Będzie wszystkich nas gonił.

— Hej, bałwanku, kochanku
Stać tu będziesz noc całą,
Kożuch z śniegu ci damy,
No i czapę wspaniałą.

Kiedy dzieci nazajutrz
Z szkół na pole wróciły.
Znikł bałwanek bez śladu,
Stać przez noc nie miał siły.

Jechał mleczarz do miasta
Zabrał z sobą bałwanka...
Oj, ucieszą się dzieci
Co to za niespodzianka!

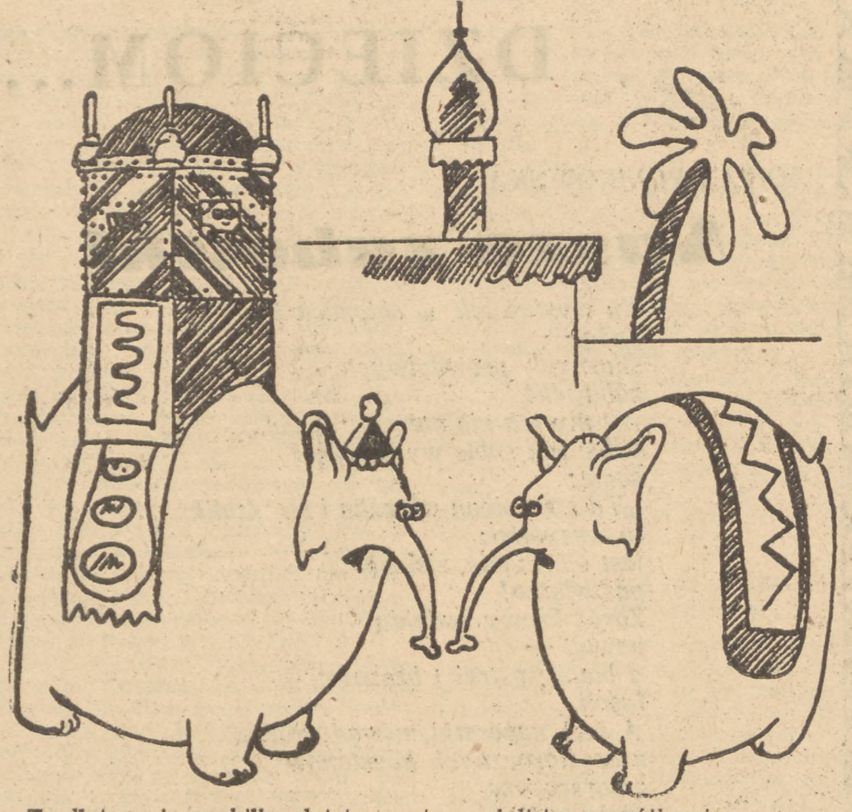
WŁADYSŁAWA PASZKOWSKA

Kolega z Ameryki

Kolego z Ameryki! Przez szum oceanu,
przez wichru pieśń porywczą i parowców gwizd.
słyszę cię ja, kolega twój, Widera Janek,
i widzę cię, jak piszesz twój kochany list.
Więc najpierw ci dziękuję za przesyłkę Jimie!
Staszek dostał buciki, Zośka sweter, wiesz?
Jimmy... to ładne, bardzo ładne imię.
Za mleko i mydełka dziękujemy też.
Ty mieszkasz tak daleko! Widziałem na mapie,
domy rojne jak ule, podobne do gór!
aut więcej, niż przechodniów... dziwne fotografie!
ty pewnie mieszkasz, Jimmy, w tym drapaczu chmur?
A do szkoły, gdzie chodzisz? Czy bardzo daleko?
i stopnie z geografii pewnie dobre masz?
To takie dziwne, Jimmy... za ogromną rzeką,
za oceanem mieszkasz, a mnie, Janka znasz..
Ty należysz do Koła Czerwonego Krzyża,
i ja także należę, ty, Jimmy i ja.
Wiesz? Ocean nie dzieli, ale właśnie zbliża,
gdy jedna myśl szlachetna łączy serca dwa!

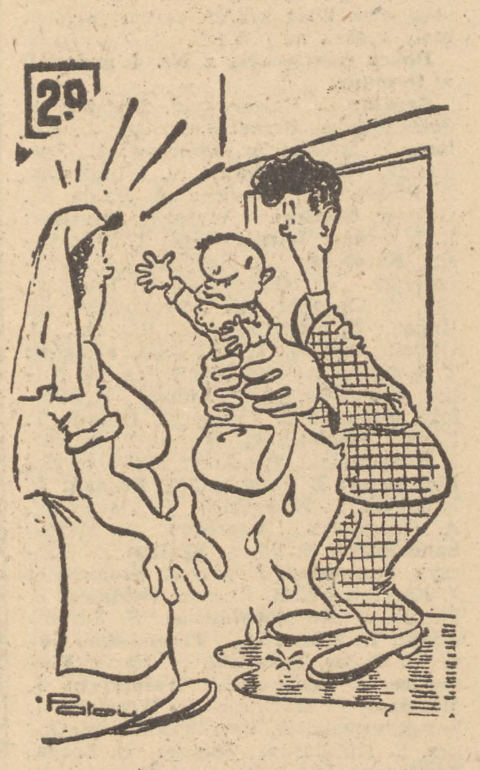
Świat się śmieje

NA DWORZE MAHARADŻY



— To dlatego, że on kilka dni temu otrzymał list z pogróżkami...
(„Collier's")

W KLINICE POŁOŻNICZEJ



— Czy nie mogłaby mi pani tego wymienić, bo on przecieka...
(„Le Rire")

SPOSÓB NA UPAŁ



(„Ici Paris")

SŁUSZNA UWAGA



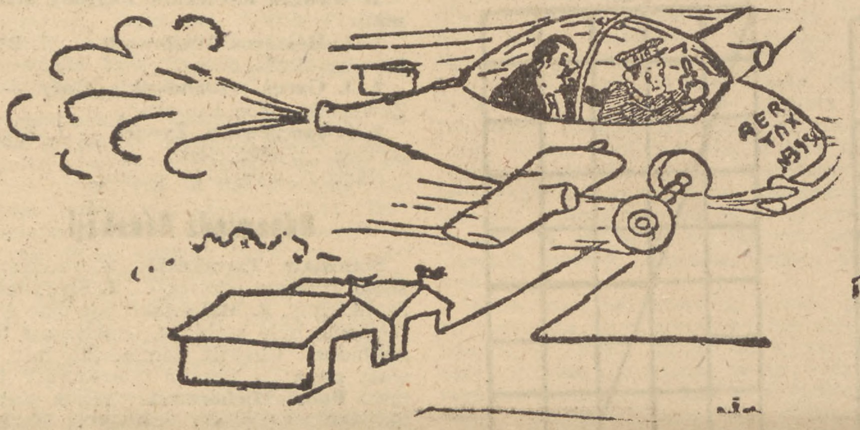
— A mówiłem, że jednak pan za dużo wyrzuca balastu...
(„Paysage")

NAD MORZEM



— Kochanie popatrz się, co złapałem!
(„La France")

W ROKU 1950



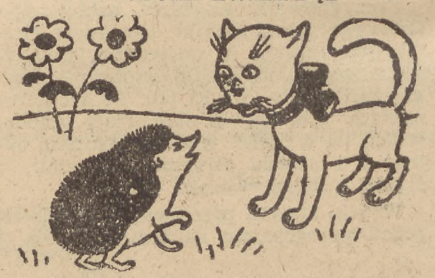
— Panie, ale tym razem niech pan już wyląduje wreszcie pod wskazanym adresem. W ciągu godziny już drugi raz oblatujemy ziemię dookoła...
(„Combat")

LEKCJA POGLĄDOWA



— Popatrz, w ten sposób musisz to robić Moderku!
(„Collier's")

Z ŻYCIA ZWIERZĄT



— Pragnąłbym, aby mnie także ktoś głaskał...
— Musisz poszukać sobie jakiegoś fakira.



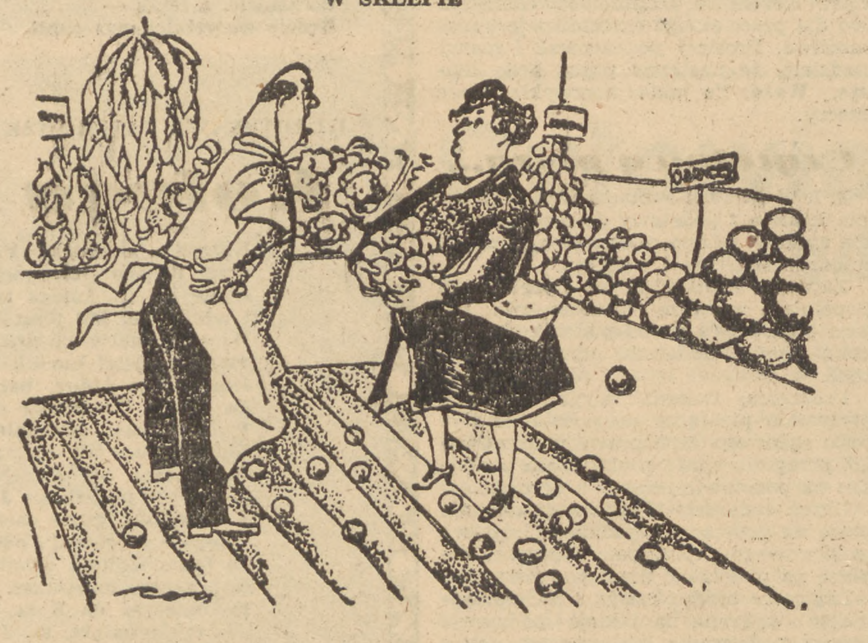
— Czy oskarżony chce jeszcze o coś prosić.
— Owszem, czy Pan sędzia nie zechciałby wypić ze mną bruderschaft.

SPEKULANT



— Kupiłem to za bezcen, a podobno to bardzo idzie w górę, grunt odczekać...

W SKLEPIE



— A czy pani jest tak całkiem pewna, że pani wybrała akuratnie tuzin najlepszych? Może by pani je jeszcze raz tak przeglądnęła...!
(„Collier's")

W DŻUNGLI



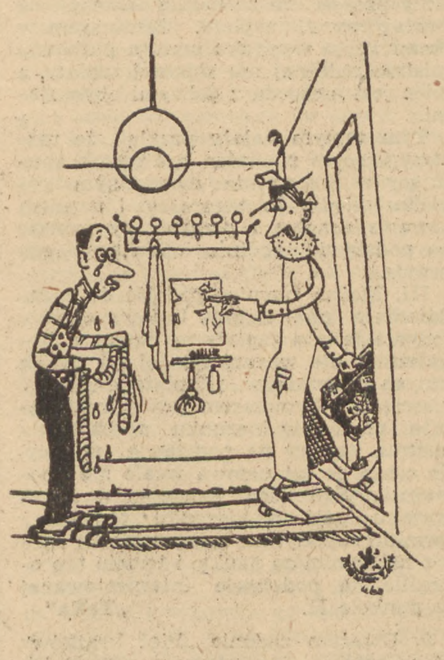
— No kochaneczko, bądź tak dobra i oddaj mi strzelbę...
(„Tour à Tour")

GDY POSKRAMIACZOWI DZIKICH ZWIERZĄT NUDZI SIĘ W NIEBIE



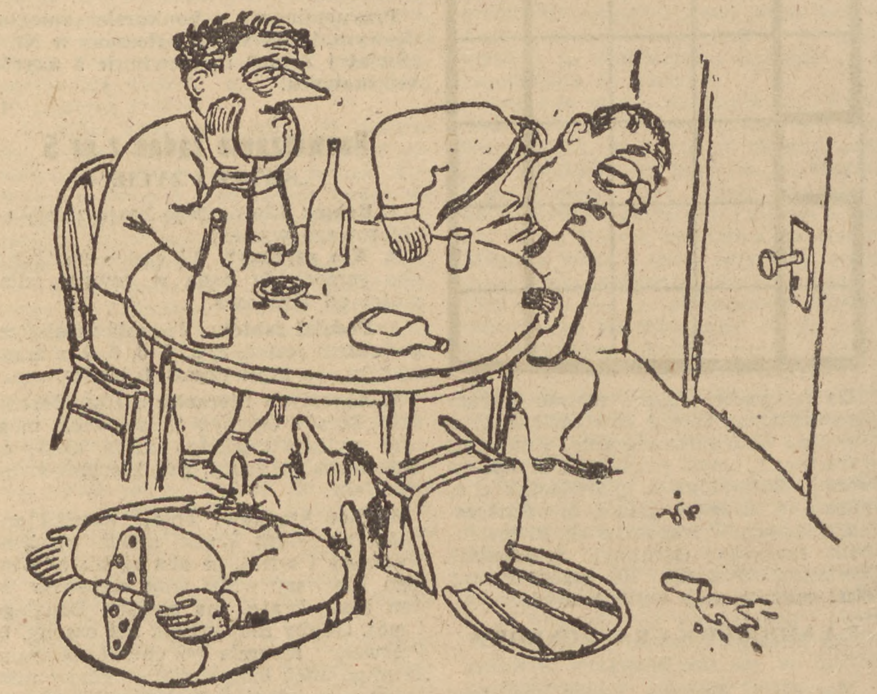
(„Ici Paris")

„ROZSTANIE"



— A sznurem radzę ci zawiązać serce, żeby nie pękło.

SPOSTRZEŻENIE



— Zobacz, Edek już się kompletnie załamał!
(„New-Yorker")